W osiemdziesiątą rocznicę urodzin Marii Bechczyc-Rudnickiej, JANUSZ ROSZKO — Przemyśl srebrnodzwonny, ROMUALD WIŚNIEWSKI — Relacja o przetrwaniu, MACIEJ PODGÓRSKI — Kuszenie eksperymentem, WIKTOR ŁOBODA — Hrubieszów, Dyskusja o teatrze wojewódzkim

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 12.V.1968 Nr 10 (391) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

A WIĘC JAK WYCHOWYWAĆ?

Zdzisław Cackowski

CZŁOWIEK jest twórcą człowieka. Zdanie to nie jest tylko prowokującym początkiem artykułu. Wyraża ono głębokie przekonanie, wedle którego proces wychowawczy szeroko rozumiany nie tylko polega na wypełnianiu pewnymi treściami ludzkiej duszy na podobieństwo napełniania naczynia wodą, nie polega on tylko na kształtowaniu (zmienianiu) ludzkiej osobowości danej człowiekowi niezależnie od wychowania, ale w istocie rzeczy — na tworzeniu tej osobowości. Stąd odwieczna doniosłość problemu wychowania; stąd szczególna doniosłość tego problemu w naszych czasach i u nas, w kraju budującym socjalizm, w kraju, którego wzniosłe i dalekosiężne ideały wymagają włączenia do aktywnego życia każdej jednostki i stworzenia warunków dla jej pełnego rozwoju. Jest więc problem wychowania doniosłą sprawą dla każdej komórki społeczności socjalistycznej od rodziny począwszy a na narodzie całym skończywszy.

Problemy wiążące się z wychowawczą działalnością każdej grupy społecznej (rodziny, zakładu pracy, szkoły, organizacji społecznej czy społeczno - politycznej) wymagają ciągłej i gruntownej analizy. Uwagi, które w tym artykule chcemy sformułować, dotyczyć będą spraw wychowawczych w szkole; nie określam przy tym z góry szczebla szkolnictwa, do którego uwagi te się odnoszą. Jedne z nich bowiem dotyczą szkoły średniej, inne wyłącznie szkoły wyższej, jeszcze inne dotyczą ich obu. Trudno też w krótkim artykule kusić się o rozważenie wszystkich aspektów działalności wychowawczej szkoły. Kto więc zdecyduje się na lekturę tych rozważań, niech je potraktuje raczej jako okazję do własnego namysłu nad tym niezwykle doniosłym problemem. Główną kwestią tych rozważań będzie proces nauczania (proces dydaktyczny) jako środek działania wychowawczego.

Przechodząc teraz do rozważenia zapowiedzianej kwestii stwierdźmy na początku, że co najmniej dwie różne treści wiązać należy ze słowem „wychowanie". Można tym słowem oznaczać wszelkie działanie zmierzające do takiego czy innego kształtowania osobowości człowieka. Przy takim pojmowaniu procesu wychowania wszelkie działanie organizujące proces nauczania (tzw. proces dydaktyczny) stanowi część składową wychowania i wówczas problem, sformułowany pod koniec poprzedniego akapitu, trzeba uznać za sformułowany niepoprawnie, bowiem praca dydaktyczna nie jest wówczas środkiem działania wychowawczego, ale jest samym działaniem wychowawczym, jest jego częścią.

Możliwe jest wszakże (i spotykane często) inne, węższe rozumienie słowa „wychowanie" — takie mianowicie, że działania przez to słowo oznaczane są — w odróżnieniu

(Dokończenie na str. 4)

Fot. D. B. Łomaczewska

Wojciech Roszewski

Eden

W sadzie uśnionym, gdzie grusza usycha
Prósząc dokoła białą zamieć płatków
Gdzie dom drewniany zgina się w upale
I pompa skrzypi plując rdzawą wodę

Słyszałem głosy gwałtownie urwane
Wąchałem w różach swąd spalonych ciał
Chwytałem kulę w powietrzu przejrzałym
Zdzierałem łunę wmurowaną w mrok

W ogrodzie widnym, gdzie akacja cicha
Żółci za sobą zwilgłej ziemi pas
Gdzie klomby drzemią upojone światłem
I płot unosi fioletowy powój

Liczyłem susy zaognionych salw
Śledziłem skrzydła uczajone w locie
Mrużyłem oczy w eksplozji zenicie
Miażdżyłem palce, by ujawnić życie

PRZEMYŚL SREBRNODZWONNY

Janusz Roszko

WSZEDŁEM w to miasto na granicy z dźwiękiem wieczornych dzwonów, z miejscową gazetą w ręku, poszukując godnego zajazdu i nie mogłem zakończyć włóczęgi po zaułkach i placach. Bo też przedziwnie piękne jest to miasto nad Sanem, schodzące sędziwymi budowlami z góry zamkowej ku podcieniowemu rynkowi, gdzieś po boku wzgórza lesiste, z mgłą, w którą wsiąka melodia dzwonników. Spoglądam na ułomki Zamku, który kasztelan Marcin Krasicki jeszcze w XVII w. attyką i krągłymi basztami na rogach przyozdobił, patrzę na kopiec wysoki nad rzeką, zwany kopcem tatarskim, a leże czeka gdzieś w hotelu „Polonia", też prastarej ruderze, jako że nowego hotelu na 250 miejsc za jedyne 40 milionów jeszcze nie zdążyli pobudować, choć planują.

Dzwony nie milkną, gdy czytam miejscową gazetę „Życie Przemyskie", która chyba jako jedyna w Polsce podaje w osobnej rubryce zgony, śluby i urodziny w tym 60-tysięcznym mieście. Dźwięk dzwonów przy czytaniu tego rodzaju informacji jest nadzwyczaj na miejscu, choć w istocie został na początek reportażu wprowadzony dla innych powodów: aby w rezultacie zwrócić uwagę na ostatnich ludwisarzy, czyli mistrzów, którzy dzwony tutaj w Przemyślu odlewają. Ale z tym jeszcze poczekajmy.

Mam powody, aby na Przemyśl patrzeć z sympatią i wzruszeniem. Nie tylko mijając skromny, renesansowy dworek naprzeciwko katedry — dom, który zajmował warchoł, mąciwoda i najprzedniejszy publicysta polskiego renesansu, ksiądz Stanisław Orzechowski. Autor złośliwych paszkwilów przeciwko ożenkowi króla Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną — nie bacząc na stan duchowny sam się ożenił i jeszcze wszystkim udowadniał, że duchowieństwo powinno się żenić, bo celibat jest niezgodny z naturą. Poderwawszy jakąś uroczą przemyślankę — a przemyślanki są szczególnie urocze — cóż miał innego zrobić?!

Mimo że uwielbiam fantazję Orzechowskiego, to jednak mam poważniejszy powód do holubienia proprzemyskich sympatii, powód rodzinny. Na Zamku przemyskim, gdzie jeszcze z początkiem tego wieku wynajmowano mieszkania — urodziła się moja matka. I gdy tak dumam w Przemyślu pro antenates — uświadamiam sobie, że mam chyba specjalne prawo do pisywania o wschodniej rubieży. Bo oto rodzina moja pochodzi z Kamieńca Podolskiego, później przeniosła się do Lwowa. Rodzina matki spod Zbaraża, mój pradziad w tymże Zbarażu urządzał sobie wesele. W tych warunkach nie mogę być np. wrogiem Sienkiewicza, bowiem trylogia jest niejako książką o moich rodzinnych kątach i to napisaną nader zajmująco...

Mam właściwie żal do Sienkiewicza, że nie umieścił żadnej sceny z trylogii w Przemyślu. To miasto nadaje się do XVII-wiecznej powieści historycznej jak ulał. Renesans i barok wszedł w ulice wspaniałymi bryłami kościołów i klasztorów, zakątki krzywizny ulic i perspektywy przypominają Padwę, Rzym, Sienę. Legenda powiada, że wojna mnichów, opisana przez biskupa Krasickiego w „Monachomachii", właśnie w Przemyślu się odbyła. Zważywszy, że książę poetów urodził się w niedalekim Dubiecku i tamże wychował — mógł mieć dość ścisłe informacje...

Jest wreszcie miastem, gdzie od wieków krzyżowały się wpływy wschodu i zachodu. Bransolety szklane, wyrabiane w Kijowie, sąsiadują w warstwach kulturowych na Zamku z monetą bitą w Kolonii przez Ottona III — tego samego, co tak kochał się z Bolesławem Chrobrym. Z owego sąsiedztwa wynika niedwuznacznie, że przez Przemyśl prowadziła jedna z odnóg szlaku Kijów — Kraków — Praga — Ratyzbona. Droga żelazna Lwów — Przemyśl — Jarosław — Tarnów — Kraków jest w jakiś sposób utrwaleniem tego szlaku, biegnącego prawie równoleżnikowo, z jakimś wybrzuszeniem po drodze na północ i na południe (warianty), bo za Jarosławiem, aż chyba gdzieś pod Tarnów rozpościerała się nieprzebyta w owych czasach sandomierska puszcza. Trzeba więc było z Przemyśla do Sandomierza południem na Biecz podróżować...

Podróże kształcą — kiedyś kształciły jeszcze bardziej, skoro trwały całymi tygodniami. Najczęściej pozostają z podróży wrażenia czysto gastronomiczne, ale w przypadku Przemyśla jest i jedno i drugie. Nawet w telewizji chwalono przemyską kuchnię, której specialité de la maison stanowią pieczarki nadziewane. Czym? Powiadają, że to ich tajemnica, przepisu nie dają. Visitez Przemyśl! — najecie się nadziewanych pieczarek.

Złocisty niedźwiedź nie niebieskim tle patrzy na mnie z przemyskiego herbu, umiejscowionego na druku firmowym „Towarzystwa Upiększania Miasta Przemyśla", które ma na celu *upiększanie miasta Przemyśla przez pomoc przy konserwacji istniejących zabytków architektonicznych i historycznych, zakładanie parków, zieleńców, sadzenie drzew i popieranie publikacji popularyzujących historię miasta z okolicą...* Sądzę więc, że złocisty niedźwiedź będzie mnie popierał, rzecz prosta jak najbardziej moralnie. Jeśli chodzi o zawartą w tytule srebrnodzwonność — wyjaśnimy ją wracając na Zamek.

Otóż ocalałe skrzydło Zamku zajmuje teatr „Fredreum", znowu rzecz na skalę ogólnopolską — jedyny amatorski stały teatr w Polsce z tradycją niemal stuletnią. *Może zamczysko spotkałby ten sam los, co wiele innych zabytków* — pisze we wspomnieniu nestor „Fredreum", reżyser i aktor Adam Wysocki — *gdyby nie wzięły go pod swe skrzydła opiekuńcze ptaki — takie, jak „Ptaki" Arystofanesa, które tam na szczycie góry między basztami zbudowały swoje gniazda, by łączyć ludzi z bogami i wznosić ich dusze ku ideałom nad poziomy codziennego, szarego życia.* Teatr ów nader poważnie traktował zawsze swoją misję, ale cóż miał robić: publiczność przemyska jest znana ze swej wybredności i wobec swoich własnych aktorów nie stosowała nigdy tej pobłażliwości, z jaką odnosiła się do zespołów przyjezdnych.

Tak więc „Fredreum" ma się czym pochwalić i ponieważ ciasno mu było w dotychczasowym „gnieździe" — zwrócono się do władz wojewódzkich o rozbudowanie im teatru, zwłaszcza, że wielki pusty plac dawnego dziedzińca zamkowego stwarzał te możliwości. Ale zanim przystąpiono do planów budowlanych — postanowiono oddać ów teren do przebadania archeologom. Tak więc Przemyśl stał się w latach 50-tych modny jako placówka dostarczająca stale nowych wieści z „wykopek", ale bomba pękła dopiero w 1960 roku.

Niektórzy badacze dziejów Przemyśla sugerowali, że gród istniał najpierw na wzgórzu Trzech Krzyży, a później dopiero na obecnej górze zamkowej. Mimo to doc. Żaki od razu zaczął kopać na Zamku i jak się okazało — było to pełne trafienie. Pierwsze wykopy w r. 1956 wykazały ciągłość osadniczą od renesansu po wczesne średniowiecze. W r. 1958 nastąpiło odkrycie wałów obronnych, a rok 1959 przyniósł posadzkę cerkwi Wołodara Rościsławowicza z początku XII wieku oraz monetę z dalekich kolonii z okresu cesarza Ottona III. To było odkrycie nie lada. Okazało się, że Przemyśl od zarania dziejów leżał na szlaku handlowym wschód — zachód, mimo że dotychczas odmawiano mu tego. Linię szlaku prowadzono od Rusi przez Zawichost, Sandomierz i Wiślicę do Krakowa. Moneta mówi niezbicie, że istniał też inny szlak południowy — biegnący z Kijowa przez Przemyśl na Kraków. Musiał też mieć Przemyśl jakieś związki handlowe z Kolonią, o czym świadczy nie tylko moneta, ale przeniesiony we wczesnym średniowieczu znad Renu kult świętego Gerwona.

Stanęliśmy na przemyskim murze zamkowym z doc. Żakim i mgr Koziełem, pośród sałw pękających kasztanów, które towarzyszyły ostatniej bitwie o Przemyśl. Bitwie wygranej przez Karpacką Ekspedycję Archeologiczną, bowiem ta „firma" wykonywała przemyskie wykopki.

— Najpierw odkryliśmy ten fragment — pokazywał docent.

Było to półkole muru fundamentowego grubości półtora metra. Do półkola przylegał dalszy ciąg w kształcie łuku, ginącego z kolei pod późniejszym ogrodzeniem wzgórza. Murek półkolisty ułożono z drobno łupanych kamieni spojonych wa-

(Dokończenie na str. 4)

teatrnn.pl

Kultura 1968

Minister Lucjan Motyka o Dniach Oświaty, Książki i Prasy

Z okazji tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy minister Kultury i Sztuki Lucjan Motyka udzielił przedstawicielowi PAP wywiadu, w którym m. in. powiedział:

W tegorocznych „Dniach" — obok ogólnych, corocznie powtarzanych zadań, pragniemy szczególnie zaakcentować trzy kręgi tematyczne:

— ogromny dorobek duchowy i materialny kultury w Polsce Ludowej zawdzięczamy realizowaniu socjalistycznej koncepcji ustrojowej, kosztem wielkich wyrzeczeń, zwłaszcza klasy robotniczej;

— działalność oświatowo-kulturalna powinna służyć wychowaniu patriotycznemu, kształtować aktywność jednostek i grup społecznych, zaangażowanie po stronie socjalizmu;

— wiedza i kwalifikacje, ruchliwość umysłowa, to klucz do nowoczesności w produkcji, do ciągłego ulepszania naszej gospodarki, do dobrobytu.

...Dni Oświaty, Książki i Prasy w br. wiążą się ściśle z kampanią poprzedzającą V Zjazd PZPR. Powinno to znaleźć wyraz **we wzmożonej odpowiedzialności całego frontu upowszechnienia kultury za zaangażowanie na rzecz ojczyzny i socjalizmu, w żarliwej dyskusji** oraz poczynaniach zmierzających do pogłębienia w całym naszym społeczeństwie zrozumienia polityki partii, będącej wytyczną pomyślnego rozwoju naszej ojczyzny, a w tym — socjalistycznej kultury.

Zmarli

*** Kamil Giżycki, zamieszkały od 1946 r. we Wrocławiu. Miał lat 75. Laureat nagrody artystycznej Wrocławia, współzałożyciel oddziału ZLP w tym mieście. Autor wielu książek podróżniczych.**

*** Edna Ferber — jedna z najsłynniejszych w USA powieściopisarek. Żyła 80 lat. Największą popularność zdobyła jej książka „Show Boat", romantyczna historia o grupie aktorów, wędrujących wzdłuż Missisipi, na której później oparto operetkę i film. Była autorką powieści „Jajko i ja", drukowanej przed kilku laty w „Przekroju".**

Literatura

*** W Japonii ukazał się tom opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza, zawierający pięć utworów z tytułową „Matką Joanną od Aniołów".**

*** Nakładem paryskiego wydawnictwa Gallimard ukazał się tom „Niebieskich kartek" Adolfa Rudnickiego.**

*** Działające w Pradze wydawnictwo „Svet Sovetu", upowszechniające głównie literaturę rosyjską i radziecką, wydało w ub. roku ponad 70 tytułów w nakładzie 1,8 mln egz. W tym roku ogólny nakład wyniesie 1,9 mln egz.**

*** „Las ultimas banderas", powieść, której autorem jest Angel Maria de Lera, to największy sukces literacki w Hiszpanii w ostatnich latach. W ciągu 3 miesięcy sprzedano ponad 100 tys. egzemplarzy.**

*** 20 tysięcy życiorysów zawiera „Słownik literatur", którego pierwszy tom ukazał się we Francji, drugi ukaże się w czerwcu, trzeci w październiku.**

*** 5 maja w miejscowości francuskiej Nogent-sur-Marne odbędą się pierwsze targi kieszonkowców. W ramach targów dyskusja na temat „kultury kieszonkowej" oraz loteria — główna wygrana tyle książek na wagę, ile będzie ważył wygrywający.**

Teatr

*** Warszawski Teatr Wielki wystąpił z premierą dwóch utworów baletowych: „Giselle", Adama i „Francesca da Rimini" Czajkowskiego. Są to pierwsze premiery przygotowane przez radzieckiego baletmistrza Aleksego Cziczinadze, który objął stanowisko głównego scenografa Teatru Wielkiego.**

*** W ostatnich dniach kwietnia odbyło się w Krakowie I międzynarodowe spotkanie szkół teatralnych z Warszawy, Łodzi, Krakowa, Berlina, Lipska, Bratysławy, Pragi i Budapesztu. Zaprezentowano 8 spektakli, będących pracami dyplomowymi, odbyło się też seminarium na temat szkolenia aktorów.**

*** Moskiewski Teatr Lalek Sergiusza Obrazcowa wystawił sztukę „Niezwykły koncert" w zupełnie nowym wykonaniu. Poprzednia wersja była grana 3 599 razy. W maju zespół wyjedzie do Paryża.**

*** W nakładzie zaledwie 250 egz. wydano w Paryżu sztukę Sartre'a „Barjona", napisaną jeszcze w obozie niemieckim, a dotychczas zupełnie nie graną. Wiele teatrów zabiega o jej wystawienie.**

*** Słynny teatr paryski Sarah-Bernhardt po przekształceniu na Teatr Miejski rozpocznie swoją działalność na jesieni sztuką Szekspira „Wiele hałasu o nic". Pięć razy w tygodniu przed spektaklem teatralnym odbywać się będą godzinne koncerty popularne.**

*** Z inicjatywy grupy aktorów włoskich ma powstać teatr wędrowny, obsługujący widzów we Włoszech, Francji, Szwajcarii i innych krajach. Przedstawienia mają być dawane przede wszystkim dla robotników wielkich fabryk w dużym namiocie, który ekipa ma wozić ze sobą.**

Muzyka

*** Od 16 do 19 maja odbędzie się w Jeleniej Górze końcowy etap festiwalu zespołów teatralnych uczelni wojskowych. Pierwszy tego rodzaju festiwal odbył się w 1966 r. w Poznaniu i zakończył się sukcesem tamtejszej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych.**

*** W amfiteatrze w Kołobrzegu oraz w muszli koncertowej w Połczynie odbędzie się w dniach 3—7 lipca II Festiwal Piosenki Żołnierskiej z udziałem piosenkarzy zawodowych i amatorskich, zespołów artystycznych i orkiestr zawodowych oraz amatorskich. Przewiduje się udział ok. tysiąca wykonawców.**

*** Henryk Czyż, dyrygent Filharmonii Krakowskiej, zamierza poświęcić się komponowaniu, tylko od czasu do czasu występując gościnnie z pałeczką.**

*** Na początku drugiej połowy kwietnia przebywała w ZSRR paryska orkiestra symfoniczna, przyjęta bardzo gorąco przez publiczność Moskwy, Leningradu i Kijowa. W tym samym czasie przebywał w Moskwie Jean Vilar, zapoznając się z pracą Teatru Wielkiego. W listopadzie opera moskiewska przyjedzie do Paryża, prezentując m. in. „Borysa Godunowa" i „Damę Pikową".**

*** Pierwszą nagrodę w konkursie piosenkarskim Eurowizji zdobyła Hiszpanka Massiel — prawdziwe nazwisko Maria de Los Angeles Santa Maria, 19-letnia córka impresario w Madrycie. Sama jest autorką słów piosenki „La, la, la", dzięki której zdobyła nagrodę.**

*** W Fontainebleau powstała międzynarodowa biblioteka muzyki współczesnej, którą kieruje Leon Barzin.**

Sztuka

*** Pierwszą nagrodę w konkursie na medal pamiątkowy z okazji 25-lecia Ludowego Wojska Polskiego zdobył artysta-plastyk Roman Opałka z Warszawy.**

*** Spotkania z radzieckimi artystami i działaczami kultury, festiwal najnowszych filmów, koncerty, konkursy, quizy — wszystko to złożyło się na „II Dni Kultury Radzieckiej", obchodzone w Rybnickim Zagłębiu Węglowym.**

*** W najbliższym czasie nakładem radzieckiego wydawnictwa „Iskusstwo" ukaże się drugi tom „Pomników sztuki światowej", który jest poświęcony sztuce starożytnej Egiptu i Bliskiego Wschodu. Zawiera on ponad 600 reprodukcji.**

*** W połowie maja w angielskim mieście Plymouth odbędą się „Dni kultury polskiej", obejmujące m. in. wystawę malarzy gdańskich.**

*** 235 obrazów malowanych na drzewie z 241, oraz 200 obrazów na płótnie z tysiąca, uszkodzonych w czasie wielkiej powodzi we Florencji w r. 1966 — jest całkowicie odrestaurowanych. Pozostałe dzieła sztuki zostały uszkodzone w sposób nie dający się naprawić — oświadczył prof. Umberto Baldini, który kieruje pracami renowacyjnymi.**

*** W Nowym Jorku odbyła się wystawa kobiet-malarek pod hasłem „Mężczyzna widziany przez kobiety". Nieżaka pani Alice Cocea przysłała namalowany bukiet kwiatów z listem: to jest symbol mężczyzn, którzy są stworzeni po to, aby kobietom ofiarowywać kwiaty.**

Film

*** Reżyser Janusz Kidawa pracuje w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych nad filmem „Sprawiedliwi", który ukaże pomoc, jaką niosła ludność polska mordowanym przez hitlerowców Żydom. Prapremiera ma odbyć się w lipcu — wersja pełnometrażowa w telewizji, średniometrażowa w kinach.**

*** W wytwórni „Mosfilm" trwają prace nad wielką trylogią „Wyzwolenie Europy", która ma odtworzyć wiernie panoramę wojennych i politycznych wydarzeń w latach 1943—45. Reżyseruje Jurij Ozierow. Konsultantami są marszałkowie i generałowie radzieccy z okresu wojny.**

*** W ZSRR rozpoczęto nakręcanie pierwszych ujęć filmu „Czerwony namiot", który ma być wynikiem koprodukcji radziecko-włoskiej. Obrazuje on wyprawę gen. Nobilego do bieguna północnego.**

*** Aktor Marlon Brando oświadczył w Hollywood, że czasowo wycofuje się z filmu, aby poświęcić się walce o prawa cywilne dla wszystkich obywateli USA. Chodzi, oczywiście, o działalność na rzecz Murzynów.**

*** Po dużym sukcesie „Poskromienia złośnicy" Richard Burton i Liz Taylor zamierzają wystąpić w dalszych filmach opartych na dziełach Szekspira — „Makbet", „Koriolan" i „Burza".**

*** Reżyser włoski Carlo Lizzani przygotowuje „Śmierć w Dongo" — film o ostatnich godzinach życia Mussoliniego. Rolę dawnego dyktatora włoskiego zagra Rod Steiger.**

*** Oczywiście film „Grek Zorba" nie oparł się amerykańskim producentom. Na jesieni w Nowym Jorku odbędzie się prapremiera komedii muzycznej, opartej na tym filmie.**

Różne

*** To raczej niezwykły jubileusz: najbardziej popularna piosenka radziecka „Katiusza" obchodzi — jeżeli tak można powiedzieć — 30-lecie powstania. Kompozytorem jest Isakowski, słowa napisał Błatner. To jej imieniem nazwano słynną radziecką broń rakietową.**

*** Festiwal w Spoletto odbędzie się w dniach od 27 czerwca do 14 lipca. W jego ramach teatr amerykański z Buffalo pokaże sztukę Edwarda Albee „Cytaty według Mao Tse-tunga".**

*** Jedno z wydawnictw angielskich ma opublikować katalog książek, wydanych w Europie zachodniej od wynalezienia druku do chwili obecnej. Katalog ma objąć ok. 13 milionów haseł w 610 tomach, każdy z nich po 700 stron. Praca nad tą niezwykłą publikacją ma potrwać 12 lat.**

*** Słynna tancerka angielska, Margot Fonteyn, wyznała w wywiadzie dla prasy angielskiej, że przygotowywała porwanie szefa policji panamskiej, gdyby nakazał on aresztowanie jej męża Roberto Ariasa, który jest obywatelem panamskim. Jako deputowany Arias przeciwstawia się polityce rządowej.**

Kamena str. 2

Antylaurka dziennikarska

Marek Adam Jaworski

WIESŁAW Myślek zaatakował w „Trybunie Ludu" „Politykę". Zespół „Polityki" zaatakował red. Myślka. Nie wchodzę w meritum sporu, chcę tylko zwrócić uwagę, że nareszcie coś się zaczęło dziać w naszej prasie. Na razie — w centralnej, sądzę jednak, że dobrze by było, ażeby i w Lublinie polemika prasowa uzyskała pełne prawa obywatelskie. Dziennikarze mogą sobie podawać ręce, mogą wspólnie pójść na kawę, rozegrać robra, ale przecież poza pryncypiami nie muszą się we wszystkim zgadzać! Aby jednak mogli śmielej wyrażać swoje poglądy, trzeba wytworzyć ku temu odpowiedni klimat. Krytyka prasowa nie może być traktowana jak kamień obrazy, a słowa wydrukowane w najpoważniejszym nawet organie — jak dogmat nie do podważenia. Bo te słowa wychodzą przecież spod piór normalnych śmiertelników — dziennikarzy, a dziennikarze również mogą się mylić, popełniać mniejsze czy większe gafy, od których nie są wolni i zawodowi politycy.

Rzecz w tym, co określamy mianem zaangażowania. A zaangażowanie to czynna postawa polityczna. W kraju dzieją się zbyt poważne sprawy, aby można sobie pozwolić na rolę biernego kibica. Niemile mnie uderzyło, że niektóre materiały, jakie ukazały się na łamach „Sztandaru Ludu" w burzliwych dniach marcowych, nie były podpisane n a w e t inicjałami. Nie mam tu na myśli komentarzy, które można traktować jako głos redakcji, ale informacje sprawozdawcze, chociażby informacja z wiecu studenckiego. A przecież praca w organie KW zobowiązuje szczególnie. Nie chciałbym jednak precyzować pośpiesznych sądów, inicjatywa bowiem mogła również wychodzić ze strony kierownictwa redakcji. Sądząc po lekturze lubelskich dzienników trudno przypuszczać, aby owej inicjatywy było zbyt wiele. Przedruki z prasy warszawskiej nie mogły zastąpić komentarzy miejscowych. A w tym względzie poza głośnymi „3 groszami" Lesława Gnota trudno było cokolwiek wyróżnić.

Moje rozważania, na pewno bardzo osobiste, dotyczą drugiej i częściowo trzeciej dekady marca. Były to dni najtrudniejsze, ale one stanowiły też swoisty egzamin i lubelskiego środowiska dziennikarskiego. Nie wydaje mi się, aby ów egzamin wypadł najpomyślniej. Cieszyłbym się, aby ktoś mnie przekonał, że nie mam racji.

DYSKUSJE są formą samokształcenia się, pogłębiania wiadomości. Chciałbym publicznie zapytać, gdzie d y s k u t u j ą lubelscy dziennikarze? Na pewno na zebraniach partyjnych. Organizacje partyjne są jednak przy poszczególnych redakcjach, poza tym w zasadzie uczestniczą w nich jedynie członkowie partii. A na jakim forum spotykają się dziennikarze — członkowie partii z dziennikarzami bezpartyjnymi lub członkami ZSL czy SD?

W Lublinie działa klub mieniący się oficjalnie „klubem stowarzyszeń twórczych". Nazywa się „Nora". Ta nazwa pasuje doń jak ulał. To jest rzeczywiście n o r a. Chodzę tam od czasu do czasu. Owszem, wypiję i kilka kieliszków, pogwarzę ze znajomymi, usłyszę kilka kawałów, dowiem się nowych ploteczek. To jest dobre przez miesiąc, dwa, może i rok. Potem jednak zaczyna po prostu... nudzić. Te same twarze, często z tym, co określamy mianem „stowarzyszenia twórcze" nie mające nic wspólnego, tradycyjny jarzębiak lub winiak, smugi dymu tytoniowego. I niezmordowany portier, który z uporem godnym lepszej sprawy zgarnia popiół z pełnych popielniczek.

Kiedyś były w „Norze" odczyty, spotkania z ciekawymi ludźmi, zarówno z Lublina jak i ze stolicy. Odczyty umierają jednak śmiercią naturalną. Frekwencja jest w zasadzie nikła, dyskusje jałowe. Bywają żywsze, gdy ktoś sobie podpije, wódka nie może jednak wpływać na rozognienie temperamentów, bo wówczas zamiast tak potrzebnej czasem szermierki słownej są zwykłe wygłupy. A może tej frekwencji nie ma, ponieważ jest zbyt mała reklama? A może prelegenci nie stanowią gwiazd pierwszej wielkości? A może po prostu kłopoty z funduszami?

Problem jest na pewno złożony. Zastanawia jednak fakt, że na przykład na bardzo interesującym odczycie W. Górnickiego na temat współczesnych problemów USA znalazła się zaledwie garstka dziennikarzy. Podobnie było na odczycie J. Bareckiego, który mówił o wizycie prezydenta de Gaulle'a w Polsce. Ten ostatni odczyt był organizowany przy czynnym współudziale „Kameny". Nasza redakcja wysłała szereg zaproszeń imiennych do dziennikarzy i ludzi z innych środowisk. Okazuje się, że szkoda pieniędzy nawet na znaczki pocztowe.

Wkładam kij w mrowisko? Szargam miejscowe świętości? Nie, po prostu uważam, że należy również spojrzeć i na własne podwórko. Nikt z nas nie może zrzucić z siebie odpowiedzialności za sprawy ogółu środowiska dziennikarskiego. I dlatego nie atakuję tu imiennie, nie wymieniam takiego czy innego nazwiska, bo za obecne oblicze „Nory" odpowiadamy wszyscy.

Czy mam jakieś konkretne propozycje? Owszem i to nie na „nie". A więc n i e p r o p o n u j ę prohibicji, n i e p r o p o n u j ę zmiany prezesa, bo lepszego gospodarza nie znajdziemy, n i e p r o p o n u j ę zlikwidowania sobotnich wieczorków tanecznych, a wprost przeciwnie — przeznaczyłbym na nie jeszcze jeden dzień w tygodniu, tym bardziej że przedstawiciele środowisk twórczych na ogół z kurami nie wstają. Ale jednocześnie pozostałe dni tygodnia — rzucam na gorąco — rozdzieliłbym sprawiedliwie na poszczególne związki twórcze. Na przykład wtorek stałby się dniem, w którym gospodarzem byłoby Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Wszyscy bywalcy klubu wiedzieliby, że w każdy wtorek SDP organizuje albo odczyt na aktualny temat, albo wieczór pytań i odpowiedzi, albo chociażby quiz-zabawę w rodzaju telewizyjnych konkursów. A dla odmiany czwartek stanowiłby dzień Związku Plastyków. Niechby któryś z nich powiedział tak po prostu o swojej pracy, niechby przedstawił... czy ja wiem? Może nawet happening? Piątek znów... Zaczynam marzyć?. Nie — myślę, jak to się mówi, głośno, szukam nowych form towarzyskich, które będą bliższym wzajemnym poznaniem się i zarazem mądrą odtrutką przeciwko obecnemu skostnieniu. Nad znalezieniem tej odtrutki warto pomyśleć wspólnie zanim zaczniemy posługiwać się laską.

A gdy już mowa o skostnieniu — nie tylko klub „Norę" mam na myśli. Kropkę nad „i" pozostawiam czytelnikom.

P. S. Skąd tytuł: „Antylaurka dziennikarska?" Mamy przecież Dni Oświaty, Książki i PRASY...

Notes „Kameny"

Józef Barecki

Perspektywy makabry

CZYTAŁEM kiedyś artykuł jednego ze znanych zachodnich ekspertów wojskowych, który porównywał potencjał militarny Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Wzrok przebiegał po nazwach najbardziej śmiercionośnego sprzętu jak po tabeli ligi piłkarskiej. Bombowce strategiczne, łodzie podwodne, podziemne wyrzutnie rakietowe, kilotony, megatony... Defilada znanych określeń, nie wywołująca żadnego już skojarzenia. Żadnej reakcji. W pewnej chwili poczułem, że gdzieś przekroczona została jakaś granica. Przeczytałem to zdanie jeszcze raz: *Nagromadzony przez Związek Radziecki zapas pocisków nuklearnych pozwala zniszczyć świat 800-krotnie. Nagromadzone przez Stany Zjednoczone pociski mogą zniszczyć świat 850-krotnie.* Chwila zastanowienia: co znaczy z n i s z c z y ć ś w i a t? Można odpowiedzieć, że oznacza to zlikwidowanie życia na ziemi, zburzenie siedzib ludzkich, spustoszenie totalne i całkowite. Można powiedzieć, ale nie można sobie tego wyobrazić. Wystarczy ten świat zniszczyć jeden jedyny raz, żeby zrobić to, co jest niepojęte. Co oznacza więc możliwość zniszczenia świata 1650-krotnie? Abstrakcja. Makabryczna abstrakcja.

Przyzwyczajenie jest wrogiem wrażliwości. Kiedyś słowo i p e r y t wywoływało skurcz strachu. Potem słowo n a p a l m. Potem słowo a t o m. Potem... w arsenałach świata gromadziły się zapasy coraz doskonalszych środków ludobójczych. Niektóre z nich wypróbowano, inne dotąd kryją swoją potęgę. Niektóre pokazuje się w działaniu, na fotografii poparzonego napalmem Wietnamczyka czy Jordańczyka, inne czekają na swój dzień, swoją godzinę.

Niedawno ukazała się książka zatytułowana jak zbiór przemówień działaczy ruchu pokojowego: „O ile nie nastanie pokój". Istotnie, jest to zbiór prac ludzi, którzy wprawdzie nie są działaczami ruchu pokoju, ale mogą równie wiele powiedzieć o potrzebie obrony pokoju. W książce tej naukowcy kilkunastu krajów informują opinię publiczną o rodzajach broni, jakimi w najbliższym czasie może „uszczęśliwić" świat rozwijająca się nauka.

Posłuchajmy, jakie perspektywy makabry rysują się przed ludzkością.

BROŃ BAKTERIOLOGICZNA. Jest ona dostępna praktycznie dla każdego narodu. Wchodzą tu w rachubę mikroorganizmy, które powodują choroby u ludzi, zwierząt i roślin jadalnych. Używać się ich będzie w postaci bomby bakteriologicznej, wytwarzającej chmurę infekcyjną. Obrona przed takim atakiem będzie prawie niemożliwa. Np. w wypadku zrzucenia przez samolot bomby wytwarzającej zarazę płucną czas przeciwdziałania ograniczony będzie do 24 godzin.

BROŃ PSYCHICZNA. Istnieje już szeroki wachlarz trucizn psychicznych. Jedna tona LDS może wywołać u wszystkich mieszkańców Londynu schizofrenię. Jest to jednak broń już tak przestarzała, jak np. gaz trujący. Uczeni są podobno na tropie środka chemicznego, którego na zatrucie całej ludzkości wystarczy tylko 10 kilogramów.

BROŃ METEOROLOGICZNA I SEJSMOLOGICZNA. W laboratoriach uczonych powstały już plany wykorzystania naturalnych procesów przyrodniczych do celów wojskowych. Przewiduje się możliwość stworzenia przy pomocy pocisku wyłomu w warstwie ozonu, która chroni życie na ziemi przed zabójczym działaniem ultrafiołkowego promieniowania. W przyszłej wojnie planuje się wywoływanie cyklonów morskich przez poruszenie luźnego materiału krawędzi szelfu kontynentalnego. Zapewne istnieć będzie możliwość zdalnego spowodowania trzęsień ziemi, zdolnych zmieść z powierzchni wszystkie największe miasta. Najbardziej drastycznym posunięciem wojskowym nazywają uczeni plany wywołania nowego zlodowacenia powierzchni ziemi drogą ingerencji w obszary lodowe Antarktydy.

NOWE PRZENOŚNIKI. Meredith Thring, wybitny autorytet w dziedzinie maszyn samoczynnie działających, spodziewa się, że dojdzie do skonstruowania robotów — plechurów kontrolowanych przez wmontowane komputery. Patrolowałyby one określone obszary i mogłyby zabić każdego człowieka, który by na nie wtargnął. Thring roztacza również wizję samoczynnie poruszających się bomb. Byłby to obiekt nie do zdobycia, posuwający się ku obranemu celowi, omijający przeszkody i transportujący bomby wodorowe w dowolnym kierunku, do bram każdej stolicy świata. Tak skonstruowany obiekt mógłby zostać powstrzymany jedynie przy użyciu broni jądrowej, gdy znalazłby się on na terytorium nieprzyjaciela. W tej sytuacji obrona byłaby tak samo niszcząca jak atak.

Na koniec warto przytoczyć wypowiedź słynnego fizyka amerykańskiego dr Davida Inglisa, który stwierdził, że istnieje praktyczna możliwość skonstruowania bomby jądrowej (z kilku rozszczepialnych bomb kobaltowych), zdolnej zniszczyć całkowicie życie na ziemi.

Jakie słowo może wyrazić obawę o przyszłości naszej cywilizacji w obliczu tego zestawienia środków zagłady? Autorzy książki pytają, czy nauka jest przekleństwem. I odpowiadają: *Musimy wyeliminować albo naukę, albo wojnę.* Myślę, że odpowiedź nie jest trafna. Musimy wyeliminować tylko wojnę. Musimy wyeliminować te siły, które wprzęgają naukę w służbę złej sprawie, które powodują, że zagrożone narody, chcąc utrzymać swe bezpieczeństwo, muszą również wykorzystywać naukę dla celów wojskowych.

Niedawno świat obchodził dwudziestą piątą rocznicę skonstruowania cyklotronu. Czcił ją mówiąc o Hiroszimie i Nagasaki. A przecież energia atomowa mogłaby być błogosławieństwem dla świata. Czy będzie?

Książka „O ile nie nastanie pokój" sygnalizuje niebezpieczeństwo, z jakiego nie zdajemy sobie sprawy. Być może, że w niedalekiej już przyszłości przestaniemy reagować na dźwięk słów: bomba atomowa. Być może, że już to robimy. Skurcz strachu wywołuje dziś u nas nowa broń: bomba bakteriologiczna. Potem uczyni to nazwa innej broni: pocisk ozonowy. Potem...

Losy człowieka mogą się wymknąć z rąk człowieka. Jeżeli nie nastanie pokój.

Portret Marii Bechczyc-Rudnickiej pędzla Władysława Filipiaka. (1954 r.)

Pani Maria

CO TU wiele mówić, co tu wiele pisać. Zazdrość jest okropnym uczuciem. Należałoby ją ukryć najgłębiej, nikomu nie wyjawić. W tym wypadku, w tym szczególnym wypadku, niezmiernie trudno owo uczucie poskromić.

Codziennie spotykamy Panią Marię, która tak bardzo zżyła się z „Kameną", która poświęciła pismu wiele dni i nocy swojej redaktorskiej pracy. Spotykamy się, wymieniamy poglądy na temat dzisiejszego oblicza „Kameny", słuchamy Jej mądrych rad, które wzbogacają nasze własne doświadczenia. Zazdrościmy P. Marii jasności umysłu, młodości myśli, wartkości pióra, dowcipu, który często zabłyśnie w poważnej recenzji teatralnej, dodając jej swoistego smaku.

Spoglądamy na P. Marię i nikomu z nas nie chce się wierzyć, że dawno już przekroczyła wiek zwany emerytalnym. Tak, jak by czas zatrzymał się w miejscu, albo przeszedł obok Niej.

A kiedy w czasie którejś z redakcyjnych uroczystości P. Maria żwawo przechyli kielich nie wina, ale czystej wyborowej, i dopomina się o nowe, nie zawsze zbyt cenzuralne dowcipy, całkowicie łamie się bariera lat. Nie ma żadnych konfliktów pokoleń, bo zresztą i w codziennej pracy ich nie odczuwamy.

Są w naszym zespole koledzy, którzy szczególnie wiele zawdzięczają P. Marii. I Mirek Derecki, i Irek Kamiński pod Jej czujnym okiem i ręką wytrawnego adiustatora debiutowali na łamach „Kameny". Ona pierwsza zwróciła uwagę na ich dziennikarskie zdolności i potem mogła z radością przekonać się w praktyce, że nie zawiodła Ją intuicja. Uzyskanie przez Mirka w ub.r. pierwszej ogólnokrajowej nagrody za publicystykę kulturalną było również sukcesem P. Marii.

Niżej podpisany, który bezpośrednio od P. Marii przejął ster „Kameny", stara się kontynuować zapoczątkowaną przez Nią linię integracji czterech wschodnich województw, uważając jak i Ona, że pismo może na tych terenach spełniać poważną rolę kulturotwórczą.

Doceniając w pełni serdeczny wkład, jaki P. Maria wniosła i stale wnosi w redagowanie „Kameny", chciałoby się Jej zaśpiewać w Dniu Jubileuszu tradycyjne „Sto lat", myśląc, że nie obrazi się, jeśli nasze głosy, głosy młodszych — ciałem, ale nie duchem — kolegów redakcyjnych, nie zabrzmią zbyt czysto, jako, że my, chociaż z Lublina, ani z Łazuką ani ze Szczepanikiem nic wspólnego nie mamy. Ba — gdybyśmy ich talent posiadali, nie m a r k o w a l i b y ś m y przecież w „Kamenie"...

Ale byłoby wielkim nietaktem śpiewać dla P. Marii „Sto lat". Może więc „Dwieście"? Jesteśmy pewni, że do naszego mocno fałszującego chóru dołączy się wielu P. Marii przyjaciół, wielu wielbicieli Jej literackiego i dziennikarskiego talentu.

MAJ

M.B.-R. x 80 = młodość

OSIEMDZIESIĄT lat? Dziecinna sumka dla Marii Bechczyc-Rudnickiej. To dopiero generalna próba przed prawdziwym jubileuszem. Trzycyfrowym. Kto nie tak dawno biegał — dosłownie — po zebraniach Związku Młodzieży Socjalistycznej, choć jako redaktor i publicysta, temu nie do twarzy w stroju skrojonym według modułu „Czcigodny Jubilacie". To biurokrata — kalendarz, a nie okoliczność życiowa domaga się okrągłej pieczęci czasu.

Podwójne nazwisko Pani Marii od dwudziestu czterech lat przewija się przez publicystyczno-recenzencko - reportażowo - przekładowo-monograficzne tkanki lubelskiego życia literackiego. Przedtem bywała i beletrystyczna o czym świadczą na przykład „Niezwykłe przygody zwykłego człowieka", „Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście", czy nowele „W retorcie życia". Ale to „przedtem" to nie tak znów dawno. Przecież już w dwudziestym wieku. Ten sobie roczek 1936...

A pamiętam (musi być to sakramentalne „pamiętam" automatycznie niejako wytwarzające poetycki i refleksyjny nastrój) ów dzień październikowy 1944, kiedy w redakcji „Odrodzenia" znalazła się pewna pani z rosyjskim zaśpiewem w dykcji. Aha, i z pewnym panem. Dowiedziałem się później, że to autorka paru archaizowanych powieści wraz z mężem — muzykologiem. A po nie najdłuższym czasie coraz więcej było w prasie (uwaga: rym, czyli szybciej z życzeniami!) literek m. br. i M. B.-R. znajdujących się jako firma różnej wielkości kawałków publikowanych na szpaltach tej i tamtej lubelskiej gazety. No i ten wachlarz. Tematów. Chyba nie mniejszy od wachlarza, którym się swego czasu uwysmuklało kobiecą sylwetkę — zaraz, zaraz, u mnie z historią słabo — no, na przykład na dworze carskim.

Nie pominąć żadnego zebrania, spotkania, zjazdu, sympozjum (potrzebne dodać) — to chyba najczęściej przestrzegana dewiza w

(Dokończenie na str. 5)

Autorka „Godzin osobliwych"

Wojciech Natanson

PANIĄ Marię Bechczyc-Rudnicką poznałem przed dwudziestu kilku laty, gdy była współredaktorką lubelskiego „Zdroju". Potem spotykaliśmy się na zebraniach Penclubu, odbyliśmy podróż do Jugosławii. Były to spotkania dość przelotne i rzadkie. Mogłem jednak docenić energię obecnej naszej Jubilatki, jej talent organizacyjny i redaktorski, rozum, inicjatywę, obiektywizm, takt i wielką dla ludzi życzliwość. Jeśli dziś zabieram głos, czynię to nie tylko w imię przyjaźni. Chciałbym powiedzieć kilka słów o jednej dziedzinie zainteresowań Bechczyc-Rudnickiej i o jednym, bardzo żywym, odcinku jej działalności. O jej pracy w teatrze i na temat teatru, odzwierciedlonej w książce „Godziny osobliwe" (Wydawnictwo Lubelskie 1966), oraz w pracy zbiorowej „Teatr lubelski 1944—1964", przez Bechczyc-Rudnicką pięknie zredagowanej.

Wszystko się jednak ze sobą wiąże i łączy. Bechczyc-Rudnicka w swej pracy teatralnej i krytycznej nigdy nie oddzielała zjawisk teatralnych — od innych. Jej rozległe przygotowanie i wiedza pozwoliły obejrzeć niejedną sprawę — w świetle ostrzejszym, na tle szerszym. W młodości studiowała nauki historyczne. W 1912 roku wydała rozprawę na pasjonujący temat: stanu opinii publicznej w czasie wielkiej francuskiej rewolucji. Poznała też dobrze okres napoleoński. Otóż myślę, że dla krytyka artystycznego i dla człowieka teatru — zdobycie wiedzy historycznej ma pierwszorzędne i pobudzające znaczenie. Gdy się czyta „Godziny osobliwe" Bechczyc-Rudnickiej, na przykład uwagi o „Ziemi nieludzkiej" Curela, o „Horsztyńskim", czy o „Medei" Parandowskiego, myślenie historyczne staje się widoczne i jasne. Myślę, że nawet zajęcie się sprawą Biskupina przed wojną mogło być dla autorki użyteczne, choć w ogłoszonym tomie recenzji nie ma bezpośrednich na to dowodów. Myślę, że tak potrzebny i doniosły postulat aktualności posiada w teatrze tylko wtedy pełny sens — jeśli mu towarzyszy radość historycznego porównania, możność pojmowania praw rozwojowych społeczeństwa.

Autorka „Godzin osobliwych" opisuje, w przedmowie do swej książki, jak się w niej zrodziły teatralne zainteresowania i jakim ulegały przemianom. W dzieciństwie łączyły się z zamiłowaniem do muzyki, z oczarowaniem przez operę. Jak wiadomo, bywalcy teatrów dzielą się na dwie kategorie: tych, co się pasjonują teatrem muzycznym; i tych — co jak Stendhal — w operze się raczej nudzą. Maria Bechczyc-Rudnicka należy, jak większość Polaków współczesnych, do kategorii pierwszej. Poznanie opery i umuzykalnienie posłużyło autorce „Godzin osobliwych" do pisania na tematy doprawdy niełatwe — jakimi są sprawy współczesnej operetki. Ale i oceniając spektakle dramatyczne mogła Bechczyc-Rudnicka wykorzystać swe muzyczne przygotowanie — na przykład gdy mówi o sprawach aktorskich.

Wielkimi rolami aktorów naszych zachwycała się obecna Jubilatka, mając w latach międzywojennych możność obserwowania owego potężnego ośrodka naszego życia teatralnego, jakim była Warszawa. Możność porównania z ówczesnymi wrażeniami niewątpliwie służy autorce „Godzin osobliwych". Ale potrafi też korzystać z doświadczeń odmiennych. Tych na przykład, gdy chwilowo mniej się zajmowała teatrem, a więcej filmem. Znów działa tu prawo budowania ustawień i analogii. Różne rodzaje widowisk służą wiecznej odnowie teatru — ale i same z teatralnych doświadczeń ustawicznie czerpią. Może dlatego Bechczyc-Rudnicka zajęła się u nas jedna z pierwszych krytyką widowisk telewizyjnych. Bardzo ciekawe recenzje Bechczyc-Rudnickiej na te tematy może powinny się były znaleźć w jej książce.

Podczas podróży do Jugosławii i na Kongresie Penclubów w Bled mogłem się przekonać, jak gruntownie zna Bechczyc-Rudnicka obce języki, jak swobodnie się nimi posługuje. Widać to również w jej książce, musiała się przydać na stanowisku kierownika literackiego. Uwagi o romantyzmie rosyjskim i jego odmienności od byronizmu, ukazane na przykładzie „Maskarady" Lermontowa, a w polemice z definicjami Camusa — to jedna z najciekawszych kart w „Godzinach osobliwych". Szkic pt. „Czy pan czytał Joyce'a?" świadczy o niebylejakiej znajomości współczesnej literatury awangardowej. To, co Bechczyc-Rudnicka pisze o Szekspirze, dowodzi obeznania z kulturą angielską. Wiemy zresztą, że przekładała Fonwizina, Korniejczuka, Uspienskiego, Pawlenkę, Dychawicznego i Słobodskoja. Jako tłumaczka „Zięcia pana Poirier" Augiera i Sandeau („Ossolineum" Wrocław 1959, Biblioteka Narodowa), poznała gruntownie ową ciekawą epokę dramatu francuskiego. Mówiąc o „Aferzyście" Balzaka z okazji drugiej w Polsce wizyty Vilarowskiego TNP Bechczyc-Rudnicka zestawia tę sztukę z całą falą francuskiego, rosyjskiego i polskiego dramatu społecznego, od Ponsarda i Augiera do Narzymskiego i Gorkiego. Z drugiej jednak strony — jakże słusznie się przeciwstawia efekciarskim wywodom „wpływologicznym" na temat Mrożka i Witkacego! Perspektywa historyczna stwarza umiejętność rozumnej oceny zjawisk literackich — przekonywamy się o tym raz jeszcze. Ale nasza Jubilatka daje też dowód, że nie są jej obce i najnowsze prądy awangardy francuskiej. Przecież to ona jest współtłumaczką sztuki Audibertiego „Zło krąży", „Krzeseł" Eugeniusza Ionesco, a nawet „Wszystkich przeciw wszystkim" Adamova.

„Godziny osobliwe" (a także prace: „W stołecznym Lublinie", „15 lat lubelskiego teatru dramatycznego", oraz „Lubelski teatr dramatyczny") są dowodem jak bardzo wszelkie teatralne prace naszej Jubilatki są związane z miastem, w którym mieszka od blisko ćwierćwiecza, które głęboko pokochała: z Lublinem. Kilkakrotnie kreśliła historię teatru lubelskiego, od 1944 roku. Prof. Dąbrowski wykazał, że już w 1784 r. działała w tym mieście Kompania Aktorów Narodowych, że w XIX wieku rozpoczął tu pracę późniejszy reformator sceny krakowskiej Chełchowski, że na Ziemi Lubelskiej urodzili się Chomińscy, Rychter i Zelwerowicz. Wiemy wszyscy, że tu, w Polsce odrodzonej po hitlerowskiej okupacji po raz pierwszy publicznie zabrzmiało narodowe słowo. Dzieje kolejnych teatralnych dyrekcji lubelskich są ściśle związane z pracą i zasługami naszej Jubilatki. Miłość Lublina i miłość scenicznej sztuki to pojęcia, które u Bechczyc-Rudnickiej wiążą się nierozerwalnie i stają się nierozdzielne.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA (WROCKA) urodziła się w r. 1888 w Warszawie. Po wyższych studiach w Petersburgu, jako uczennica znakomitego historyka Eugeniusza Tarle, pracowała w Paryżu nad zagadnieniami opinii publicznej we Francji w czasie wielkiej rewolucji 1789 r. oraz nad historią napoleońskiej administracji („Napoleon a prefekci", 1913). Od 1922 do 1939 r. ukazywały się w pismach warszawskich liczne artykuły, felietony i nowele pod kryptonimem M. B.-R. Pierwszą książką beletrystyczną Bechczyc-Rudnickiej była powieść antyhitlerowska „Przygoda profesora Schmidta" (Warszawa 1935). Szczególne zainteresowanie krytyki wzbudził „Dziw" (1937), powstały pod wrażeniem odkrycia grodu warownego w Biskupinie. Z nie mniej przychylną oceną spotkała się archaizowana opowieść „Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście". Ostatnią książką wydaną przed wojną był zbiór nowel „W retorcie życia" (1938). Od r. 1944 Maria Bechczyc-Rudnicka osiedliła się w Lublinie. Pracując w „Kamenie", od r. 1960 do 1965 jako redaktor naczelny, zainicjowała współpracę czterech województw wschodnich. W związku ze swą pracą w latach 1947—1964 na stanowisku kierownika literackiego Teatru im. J. Osterwy M. Bechczyc-Rudnicka przełożyła szereg sztuk z języka francuskiego i rosyjskiego, a także opracowała wydawnictwa poświęcone historii teatru lubelskiego po wyzwoleniu. W r. ub. ukazał się na półkach księgarskich zbiór felietonów teatralnych Jubilatki pt. „Godziny osobliwe".

I to jest teatr powszechny

Maria Bechczyc-Rudnicka

SASSAFRAS? Oto wyborne słówko do igraszek semantycznych teleturnieju „Na tropach blagi". Jeden z członków zwodzącej załogi podałby określenie: „Miasteczko położone w centralnej części terytorium Wenezueli, w basenie rzeki Orinoko. 5000 mieszkańców, zatrudnionych przeważnie w przemyśle naftowym. Katedra — późny renesans (w. XVIII). Warto obejrzeć Madonnę Murilla". — Za pozwoleniem — przerwałby drugi — muszę państwa wyprowadzić z błędu. Sassafrasem nazwano niewielką odnogę Kumberlandzkiego pasma gór. Najwyższy szczyt Querenda (2156 m). Plemiona Irokezów polują tu na zbuka. — Ja natomiast zapewniam państwa — rzekłby trzeci encyklopedysta — że sassafras officinale to po prostu drzewo (laurus sassafras), rozprzestrzenione szczególnie w południowej części Ameryki Północnej. Wysokość 12—15 m, gdzie niegdzie sięga 24—27. Przerób na słupy, podkłady kolejowe, klepki (do beczek). Olejek wonny użytkowany w przemyśle perfumeryjnym i w medycynie.

— Proszę wybierać...

— ?

— Prawdziwe jest twierdzenie trzecie.

Tak w przybliżeniu ma się sprawa recepcji owego „Wiatru w gałęziach sassafrasu", sztuki arcyzabawnej, której prapremierę polską ofiarował nam ostatnio lubelski Teatr im. J. Osterwy. Wszystko tu jest spreparowane na zasadzie uciesznej blagi. Zaczynając od tytułu. Bardzo efektowny, tchnie on egzotyką i poezją serio, w istocie zaś wiatru w gałęziach „fermu" scenograficznego na lekarstwo, a najwięcej szumu za „fermem" robią pseudo-Indianie i konie z magnetofonu — ku wielkiej radości widowni. Wolno mi tedy uważać wymyślny tytuł widowiska za wstępny dowcip autora, za początek wesołego, inteligentnego pokpiwania ze mnie. Kentucky René de Obaldi istnieje tylko w wyobraźni filmowców, idee widowiska — przeminą z wiatrem.

René de Obaldia, po kądzieli Francuz, odziedziczył potężny zasób nieprześcignionego esprit gaulois, każda scena „Wiatru" tryska przednim humorem. Stwierdziwszy to w najgłębszym przekonaniu, zastanawiam się z kolei, jak by właściwie zdefiniować gatunek tej sympatycznej sztuki (skoro bez takowej definicji w ocenie recenzenckiej ani rusz)? Wydaje mi się, że musi tu najsampierw paść słowo f a r s a. Tak, czystej krwi farsa francuska, o klasycznej technice teatrów bulwarowych, zbudowana po mistrzowsku na ich zuchwałych konwencjach. Ale odświeżona tematycznie, wzbogacona aktualnymi anachronizmami (na modłę librett operetkowych). I dopiero teraz czas powiedzieć: jest to pyszna parodia amerykańskiego westernu.

Na czym polega odkrycie utalentowanego pisarza francuskiego? Na przeskoku z burżuazyjnego intérieuru paryskiego do amerykańskiego pleneru, na skameralizowaniu westernu w pudle scenicznym, na zaprezentowaniu go ni to drwiąco, ni to z sentymentem. Widz naiwny tu i ówdzie zagubi się w domysłach, widz przebiegły przyklaśnie zręczności dramaturga i sukces międzynarodowy jest zapewniony.

Z natury zamierzenia treść sztuki jest filmowo, iście po amerykańsku, banalna. Gdzieś, w pewnym rancho (nie wierzcie, że akurat w Kentucky), ciężko pracuje i ustawicznie gderze stary, biedny kolonista, nazwany przez autora na kpinę Rockefellerem. Żonę ma zacną niewiastę imieniem Karolina. Synalek Tom jest „bladolicym nicponiem", córeczka Pamela, siedemnastoletnia dzikuska, marzy o rozkoszach życia w Pancho-City (czy takie centrum kulturalne istnieje w rzeczywistości? Autor przecie mistyfikuje bez żenady). Atoli rozrywek na tym odludziu nie brak: co i raz odbywają się najazdy czerwonoskórych, którzy uważają białych za „nieczystą

(Ciąg dalszy na str. 8)

moje LEKTURY

Coś się znów dzieje w sprawach Norwida. Ukazał się nie tak dawno tom pierwszy jego „Dzieł zebranych", poprzedzony osobno wydanym „Wprowadzeniem do biografii Norwida", opracowanym, jak i tom „Dzieł", przez J. W. Gomulickiego. Na całość tej edycji wypadnie jeszcze długo poczekać, na rok obecny zapowiada się parotomowy wybór pism samotnika z Domu Świętego Kazimierza. Do tego szeregu publikacji norwidowskich doszła jeszcze jedna: „Norwid w Krakowie" Kazimierza Wyki. Rzecz to pozornie epizodyczna i marginesowa, a przecież w rzeczywistości jest inaczej i to dla paru powodów. Kazimierz Wyka od dawna już zajmuje miejsce w czołówce norwidystów, jeszcze od czasu wydania ważnej książki „Cyprian Norwid — poeta i sztukmistrz". A co do pobytu Norwida w Krakowie, to choć krótki, ten fragment młodzieńczej biografii poety okazał się ważny i płodny artystycznie. W kilka lat po odwiedzinach Krakowa powstają bowiem dwa istotne utwory dramatyczne Norwida: „Krakus" i „Wanda", których trudno nie łączyć z obecnością poety w wawelskim grodzie.

Autor „Norwida w Krakowie" w oparciu o wnikliwą interpretację źródeł drukowanych jak i własne poszukiwania archiwalne odtworzył zdarzenia tych kilkunastu krakowskich dni Norwida i to, co młody poeta na własne oczy oglądał. A Norwid trafił na dobry czas — na dni starych i ciekawych obchodów krakowskich. Z czego zresztą zdał on dokładną i bardzo reportażową relację.

Ale nie o krakowskich sprawach chciałbym tutaj za książką K. Wyki napomknąć, lecz o tym, co tam znajduje się na uboczu, a potrąca o rzeczy lubelskie, godne przy Norwidzie podniesienia. Przyjazd do Krakowa nastąpił w 1842 roku, natomiast rok wcześniej odbył Norwid w towarzystwie Władysława Wężyka paromiesięczną podróż po kraju. Zwiedził Czarnolas, Zwoleń, Sandomierz i klasztor benedyktynów na Łysej Górze. Poetyckie sprawozdanie z tej podróży, „Wiersz przecudowny", niestety, nie zachował się. Ta podróż dwóch romantyków zaczęła się od odwiedzin Piotrowic koło Lublina, majątku pseudoklasycznego poety Kajetana Koźmiana. Spędzili tu obaj młodzieńcy kilka dni, ale ta ich wizyta odbijała się później różnymi echami.

Są dane, że pobyt dwudziestoletniego Norwida w Piotrowicach związany był z wielkimi wrażeniami. Koźmian w liście do przyjaciela napisał, że w Piotrowicach wszyscy Norwida pokochali i dodaje:

Cieszę się, że swój talent wykształcił na ziemi klasycznej; stanie się znakomitym równie dłutem jak i piórem, jeśli się dobrze, o czym nie wątpię, w nieśmiertelne wzory wpatrzy.

Dodajmy, że w parę lat opinie Koźmiana o Norwidzie ulegają zmianie; nowe jego utwory kolidowały z wyobrażeniami autora „Ziemiaństwa polskiego" o poezji, toteż zostawił w swoim pamiętniku cierpkie słowa o Norwidzie. Pobyt w Piotrowicach utkwił w pamięci poety bardzo mocno. Po śmierci Koźmiana pisał do Lenartowicza o swoich wspomnieniach stamtąd:

Stefan Czarniecki w pewnej części pisany przy mnie; kasztelan rano wstając, co dzień zimną wodą obmywszy ciało, pisał 40 wierszy, które czasem widziałem u niego na stole. Jedna pieśń w rękopisie była mnie dedykowana (...)

Ale to nie jedyny gest starego poety wobec poety wschodzącego. Koźmian ofiarował także Norwidowi rękopis wiersza „Dzwon Zygmuntowski w Krakowie" z następującą dedykacją: *Młodemu i znakomitych nadziei Wieszczowi C. Norwidowi — na pamiątkę bytności w Piotrowicach — od starego Rymoklety — K. K.* Na wiersz ten napisał Norwid w Piotrowicach poetycką odpowiedź.

Zaginiony wiersz Norwida o podróży po Polsce odbił się echem w utworze jego rówieśnika, w którym znajdujemy taki fragment:

A w Babinie łowczy stary
Łowi ptactwo na ogary,
A pan Krajczy szaty plami
Tyleś prawił między nami.

A więc to dalszy ślad wędrówki Norwida przez Lubelszczyznę. Kroi się tu interesujący materiał dla dociekliwego szperacza; może przejrzenie archiwów koźmianowskich coś by nowego wniosło i wzbogaciło materiał zgromadzony w cennej rozprawie Wyki? Nie są to oczywiście główne tematy norwidologii, ale każde odkrycie ma w tym wypadku swoją wagę. Tak się ma i rzecz z epizodem krakowskim Norwida. Przybył poeta do Krakowa w drodze na zagraniczne studia w zakresie rzeźby. Stąd — jak pisze Wyka — Norwidowe pożegnanie z Krakowem stało się pożegnaniem z ojczyzną. I to dodaje drobnemu zdaje się zdarzeniu zupełnie innych perspektyw.

„Norwid w Krakowie" ma kształt albumu, który stanowi prawdziwe cacko. Znakomity tekst otrzymał uroczą oprawę graficzną — dzieło Małgorzaty Wyki i Józefa Tyca — na którą składa się wiele rysunków Norwida oraz obrazów i sztychów, jakie mogły być Norwidowi znane, a związanych głównym tematem książki.

Tadeusz Kłak

Kazimierz Wyka: Norwid w Krakowie, Kraków 1958. Wyd. Literackie.

PRZEMYŚL SREBRNODZWONNY

(Dokończenie ze str. 1)

pienną zaprawą. Nieco dalej w następnym wykopie widać było mur prosty, gruby na 2 metry. Pojawił się też w położonych kilkanaście metrów dalej wykopach kontrolnych, dając świadectwo niecodziennej wielkości budowy.

Nad owym łukiem wybitni specjaliści i historycy sztuki wyrażali różne opinie. Nie był bowiem jeszcze znany pełny zarys fundamentów budowli okrągłej i zastanawiano się co z tego wyjdzie. Półkole jest łatwe do rozszyfrowania: absyda. Tylko co do niej przylega: cerkiew o prostokątnie zakończonym planie — czy też rotunda w kształcie koła?

Stojąc na kamiennym murze ogrodzenia, obróciliśmy się na stronę zewnętrzną, plecami do zamkowego dziedzińca. I wówczas zobaczyliśmy dalszą część idealnie okrągłej budowli, a więc nie cerkiew tylko rotunda! Jest również dalsza część prostego muru drugiego budowli, z prostokątnym narożnikiem. A więc palatium! Odkryty został zespół architektury preromańskiej, jakiego dotąd nie było w całej południowej Polsce. Wówczas nie było jeszcze wykopanych palatiów w Wiślicy, ani w Krakowie na Krzemionkach. To, co po cichu archeolodzy wtedy spodziewali się znaleźć na wawelskim wzgórzu, znalazło się dość niespodziewanie w Przemyślu. To prawie Kraków nad Sanem!

Wnioskując po znaleziskach ceramicznych można orientacyjnie, z dużą ostrożnością datować rotundę i palatium na początek wieku XI. Budowle preromańskie — a to nie ulega wątpliwości, gdyż romańszczyzna przynosi ze sobą ciosy kamienne, a nie drobno łupane kamienie — były największą rewelacją archeologiczną tego roku poszukiwań. Wtedy był to w ogóle trzeci tego rodzaju zespół architektoniczny po Lednicy i Gieczu na terenie całej Polski.

Rotunda ma kształt bardziej prymitywny niż wawelski św. Adaukt i Feliks, posiada bowiem tylko jedną absydę oraz średnicę wnętrza 8 metrów. Palatium jest szerokie na 15 metrów, długie na 34 metry i należy do największych budowli preromańskich w Polsce.

Aby dowiedzieć się całej prawdy o wczesnośredniowiecznym Przemyślu, nie wystarczy czytać w ziemi. Trzeba też przejrzeć źródła historyczne.

Ruski kronikarz Nestor, zwany też „Latopisem" w odróżnieniu od swoich zachodnich kolegów-kronikarzy, zanotował: *W roku 981 poszedł Włodzimierz na Lachów i zajął ich grody: Czerwień, Przemyśl i inne, które do dziś są pod Rusią.* Przez wiele lat przyjmowano ten przekaz bezkrytycznie, cytowano, a cytując radowano się, że Przemyśl posiada tak wczesną metrykę. Dopiero prof. Kuczyński, znakomity mediewista (ten od Grunwaldu), zaczął się zastanawiać, czy w przekazie chodzi rzeczywiście o nasz Przemyśl, a nie przypadkiem o Peremyl — niewielki gródek wołyński koło Czerwienia. Czy nestorowskie „k Lachiam" oznacza „przeciwko Polakom" czy też „do Polaków".

Do tego wszystkiego dołożył swoją cegiełkę pan Andrzej Poppe, który czarno na białym udowodnił, że nie było... Grodów Czerwieńskich. Nazwa ta powstała, jego zdaniem, z winy przepisywaczy starych dokumentów i nie należy łączyć w integralną całość grodów wołyńskich (Peremyl, Czerwień, Wołyń) z Przemyślem ani Lwowem. Nestor spłodził swój latopis na przełomie XI i XII wieku, z czego wynikałoby, że przez okres od 981 roku do XII wieku Przemyśl pozostawał w posiadaniu ruskim.

Tymczasem w r. 1018 szedł na Kijów Bolesław Chrobry i wówczas najprawdopodobniej Przemyśl od Rusinów odebrał. Później, około roku 1031, w czasie ogólnopaństwowego bałaganu za Mieszka II — Przemyśl ponownie przeszedł w ręce naszych sąsiadów i to na okres dosyć długi, aż do czasów Kazimierza Wielkiego. Od roku 1087 siedzieli tu książęta Rościsławowicze — najpierw Rościsław, później znaczniejszy od niego chwałą czynów Wołodar i wreszcie Wołodymirko. Narobił on różnych brzydkich rzeczy, m.in. spalił przy pomocy Połowców naszą Wiślicę obchodząc się nader okrutnie z ludnością — paląc, rabując, mordując i gwałty czyniąc. Ponieważ nasi polscy przodkowie podobnie załatwiali swoich wrogów, tedy o metodę do Wołodymirki Rościsławowicza nie można rościć pretensji. Zresztą Leszek Biały wziął za to na Rusi srogi odwet.

Wołodar w latach 1120—1124 funduje na Zamku przemyskim cerkiew katedralną pod wezwaniem świętego Jana.

Najpierw docentowi objawiły się szczątki posadzki mozaikowej, które zidentyfikował jako posadzkę cerkwi Wołodara. Wołodar Rościsławowicz panował w Przemyślu do r. 1126, wówczas to bowiem — jak podaje sam Długosz — w dniu 19 marca zmarł, pochowany w kościele św. Jana w Przemyślu, który to kościół sam był ufundował. W owych czasach — a może to tylko brak specjalnego oznaczenia na „cerkiew" w języku łacińskim, którym posługuje się Długosz — rozróżnienie kościoła od cerkwi było trudne. Posadzka, którą odkrył doc. Zaki, należała więc chyba do owej cerkwi Wołodara.

Pod mozaiką dziwne, krzyżujące się kanały, długie i wąskie, wykonane w kamiennej obudowie. Czyżby Wołodar zafundował pod posadzką centralne ogrzewanie? Toż była by to dopiero bomba — jak na wiek XII, a można przypuszczać, że budowę rozpoczęto jeszcze w XI wieku! W roku 1134 Wasylko przeniósł stolicę swego księstwa do Halicza, w wieku XIII dzieją się z Przemyślem przedziwne perypetie: to siedzą tu Węgrzy, to Rusini, to Polacy. W roku 1212 odnotowany jest pierwszy biskup przemyski Dobrynia Jadrejkowicz, który przyszedł tu z Nowogrodu, a w tymże samym roku księżniczka Salomea funduje pierwszy kościół rzymskokatolicki! Salomea, zaręczona jako dziecko z Kolomanem węgierskim dla zakończenia pogranicznych sporów o Przemyśl, co przedsięwziął Leszek Biały...

Niewiele da się powiedzieć w świetle archeologii o przesuwającej się w historycznych już czasach to w jedną, to w drugą stronę granicy wschodniej państwa Wiślan. Jedno jest pewne: z grupy Grodów Czerwieńskich Bełz zawsze w ruskich latopisach jest pisany z „nosówką" — ei — co świadczy o wczesnym ustaleniu się nazwy zachodnio-słowiańskiej. Był zatem grodem polskim. Wreszcie sławna wzmianka latopisu Nestora powiada, że Włodzimierz poszedł na Lachów i zajął „ich grody" Czerwień, Peremyl (Przemyśl?) i inne. W roku 981 (prof. Kuczyński stwierdza, że było to w roku 1012) Nestor potwierdza, że były to grody Lachów — inaczej napisałby, że Włodzimierz szedł te grody odebrać.

Czy z preromańskiego zespołu rotunda — palatium, datowanego na wiek X, da się wysnuć wniosek, iż Przemyśl był warownią państwa Wiślan, które zgodnie z „Legendą panońską" spróbujmy nazywać „Wisły"? Radziecki uczony Borys Greków przyjmował, że to gród wiślański. Prof. Widajewicz ulokował tu jedno z plemion wiślańskich i nazwał je „Przemyślanami". Tymczasem docent Żaki kontruje. Wielkich obwałowań, charakterystycznych dla wiślańskich grodzisk, tu nie znaleziono. Gród na zamkowej górze wraz z palatium pobudowano w końcu X wieku, najmielej biorąc w połowie. Może o jedno pokolenie wcześniej, niż nazwę „Przemyśl" (Peremyl) wymienił Nestor. Są jednak sporadycznie znajdowane ślady wcześniejszego osadnictwa — na terenach otwartych, nie obwałowanych. Ciągle jeszcze zastanawia „kopiec tatarski" — jakże bliski w gruncie rzeczy kopcom znad Wisły...

Nie znajdziemy jednak w Przemyślu nic ponad to — chyba, że poszczęści się jeszcze archeologom: kierownikiem przemyskiego muzeum jest mgr Antoni Kunysz, który prowadził tu również badania.

*

Koło cerkwi Wołodara docent Zaki odkopał mały dzwoneczek będący jakby miniaturą wielkiego dzwonu. Srebrny, z ornamentem, zachował piękny, delikatny ton. Przeszłość odezwała się w Przemyślu srebrnym głosem. Ale można upatrywać w tym pewien symbol: oto dzwony zasadzone przed wiekami w ziemi zaczęły rodzić duże dzwony dzisiaj. Wszak Przemyśl jest dla dziennikarzy atrakcyjny przede wszystkim dzięki jednej z ostatnich w kraju odlewni dzwonów Felczyńskiego. Trzech Felczyńskich ma Przemyśl: Jana z synem i Eugeniusza. Ci są ludwisarzami i dzięki nim Przemyśl utrzymuje swoją tradycję srebrnodzwonną. Jest i czwarty Felczyński, magister Zygmunt. Ten właśnie działa w Towarzystwie Upiększania Miasta i Polskim Towarzystwie Historycznym. Czytałem jego prace o Zamku przemyskim i o przemyskich mostach. Jedni dzwonami, inni umiłowaniem historii podtrzymują szacunek dla wieków dawnych w tym pięknym mieście nad Sanem.

A jeszcze inni przy pomocy nadziewanych pieczarek. Visitez Przemyśl — skosztujcie!

Janusz Roszko

A więc jak wychowywać?

(Dokończenie ze str. 1)

od działań organizujących proces nauczania — procesem dydaktycznym. Wychowanie w tym węższym sensie — to kształtowanie emocjonalnej i wolicjonalnej sfery osobowości człowieka, kształtowanie pozytywnych nastawień emocjonalnych i wolicjonalnych wobec pewnych wartości oraz negatywnych nastawień emocjonalno-wolicjonalnych wobec wartości innych. Proces dydaktyczny jest wtedy czymś różnym od procesu wychowawczego, bowiem jego własnym celem jest kształtowanie poznawczych dyspozycji ludzkich. Przy takim więc pojmowaniu wychowania odróżniamy od niego nauczanie, działanie nauczające, stawiając te ostatnie pod pewnym względem na zewnątrz pierwszego.

Wszelako zauważyć trzeba, że rozróżniać — to nie znaczy rozłączać, rozdzielać. Celowe jest, jak się zdaje, rozróżnianie między sobą działania wychowawczego (w węższym rozumieniu tego terminu) i działania nauczającego, niemożliwe natomiast jest oddzielenie ich od siebie. Rzecz się ma podobnie jak z przeciwległymi biegunami magnesu: odróżniać je trzeba i można, oddzielić zaś ich nie sposób. Proces nauczania zawsze ma takie czy inne (pozytywne czy negatywne) konsekwencje wychowawcze. Otóż dla nauczyciela każdego poziomu nauczania, dla nauczyciela, który (en fakt rozumie, który zna co najmniej niektóre mechanizmy wychowawczego działania procesu dydaktycznego, który wreszcie ten proces dydaktyczny organizuje, kierując się względami wychowawczymi, dla takiego nauczyciela proces dydaktyczny jest jednocześnie środkiem działania wychowawczego.

Nie chcę przez to powiedzieć, że w przypadku nauczyciela nie zdającego sobie sprawy z wychowawczych konsekwencji jego dydaktycznych przedsięwzięć te ostatnie w ogóle następstw wychowawczych nie pociągają. Pociągają one te następstwa niewątpliwie; są to jednak tylko następstwa, nie zaś cele, do których świadomie się zmierza, a działanie dydaktyczne jest przyczyną tych następstw, nie zaś środkiem świadomie stosowanym do osiągnięcia zamierzonych skutków (celów) wychowawczych. Nie trzeba chyba dowodzić, że żywiołowa więź między procesem nauczania i procesem wychowywania nie może w żadnej mierze odpowiadać dobremu nauczycielowi i dobrej szkole. Dobry nauczyciel i dobra szkoła dążą do tego, aby poprzez nauczanie świadomie wychowywać, zaś osiągnięcia wychowawcze celowo wykorzystywać dla dalszego usprawniania procesu dydaktycznego. Tak więc nie jest i nie może być dobrym dydaktykiem (podkreślam — dydaktykiem!) ten, kto przez organizowany i prowadzony przez siebie proces dydaktyczny nie zmierza świadomie do wartościowych efektów wychowawczych i nie osiąga takich efektów.

Działanie wychowawcze, kształtujące pewien emocjonalny i wolicjonalny stosunek jednostki wobec społecznie uznawanych wartości, zakłada pewną wiedzę, wymaga wysiłku poznawczego w zakresie rozpoznawania wartości i rozróżniania ich między sobą. Poznawanie ze swej strony nie pozostaje i nie może pozostawać bez konsekwencji wychowawczych, bowiem przebiega ono w towarzystwie określonych przeżyć emocjonalnych i wolicjonalnych. Wszelkie zdobywanie informacji związane jest z regulacją ludzkiego działania, ludzkiego zachowania się, życia ludzkiego, które przecież obojętne dla człowieka być nie może. Uświadomienie sobie tej więzi między zdobywaniem informacji a samym istnieniem musi nadawać procesowi zdobywania wiedzy określone zabarwienie emocjonalne; uświadomienie sobie przez jednostkę jakiejś niemocy w zakresie poznania czegoś życiowo ważnego prowadzi do rozterki i złego samopoczucia, uświadomienie zaś sobie sukcesu w tym zakresie wzbudza uczucie radości i zadowolenia, pomnaża energię, uskrzydla wolę człowieka; tak czy inaczej więc proces poznawania pociąga z konieczności pewne skutki wychowawcze.

Na wyższym poziomie poznawania, na poziomie poznawania nie związanego bezpośrednio z praktycznym działaniem jednostki, motywem wysiłku poznawczego jest dostrzeżenie w systemie swej wiedzy pewnego nieładu, nieporządku, luk, sprzeczności. Świadomość takiego nieładu w systemie naszej wiedzy jest równoznaczna ze stanem psychicznej nierównowagi; jest to stan niezadowolenia z samego siebie, stan niepokoju. Rzecz więc zrozumiała, że znalazłszy sposób przezwyciężenia tego nieładu znajdujemy tym samym sposób przezwyciężenia niepokoju, sposób odzyskania równowagi wewnętrznej. I choćby ten stan odzyskanej równowagi był tylko jedną chwilą, to i tak jest on wystarczającym powodem do podwójnej radości, podwójnego zadowolenia: sam fakt odzyskania równowagi, harmonii wewnętrznej jest stanem przyjemnym; drugim zaś powodem zadowolenia jest świadomość własnej mocy poznawczej; radość z powodu dziecięcego „ja sam to osiągnąłem!" towarzyszy człowiekowi przez całe jego życie.

Człowiek potrzebuje afirmacji ze strony innych ludzi, ale może ją często osiągać drogą stwarzania pozorów. Każdy jednak posiada w samym sobie własnego sędziego, który odzywa się z całą surowością, gdy jesteśmy z sobą „sam na sam". Od tego sędziego też potrzebujemy akceptacji, a uzyskanie jej posiada dla nas niezwykle doniosłe znaczenie wychowawcze, samowychowawcze. Wielką radość daje człowiekowi chwila, w której sam sobie może powiedzieć, iż oto jego własny, samodzielny wysiłek okazał się wartościowy, skuteczny. Jeżeli więc proces nauczania przebiega tak, że uczeń czy student jest współuczestnikiem tego procesu, to proces uczenia się musi być jednocześnie dla niego procesem poznawania, a jeżeli tak jest i o ile tak jest, to proces nauczania i uczenia się musi być organicznie powiązany z emocjonalnym zaangażowaniem się ucznia i tym samym musi być wychowawczo skuteczny.

Praktyka wszakże uczy, że możliwe są i — co gorsza — praktycznie zdarzają się dość często sytuacje, rodzące się z nieudolności dydaktycznej (a nie wychowawczej!) nauczycieli, w których proces dydaktyczny wywołuje negatywne skutki wychowawcze, rodząc negatywne nastawienie emocjonalne młodzieży wobec tego czy innego przedmiotu, wreszcie wobec nauki i w końcu wobec pracy w ogóle. A czyż może być większe spustoszenie moralne, spustoszenie wychowawcze od negatywnego nastawienia człowieka wobec pracy, od zniechęcenia go do tej pracy, którą mu się przedstawiło nie jako źródło radości i samoafirmacji, lecz jako źródło udręki? Przecież ten negatywny stosunek wobec pracy jest główną przyczyną wszelkiego zagrożenia społecznego ze strony jednostki, wszelkiej deprawacji jednostki! Tylko w procesie nauczania, w procesie dydaktycznym, każda uczelnia jest w stanie wytwarzać pozytywny stosunek młodego człowieka do nauki, do wysiłku, do pracy w ogóle; tylko w ten sposób można więc wytwarzać w szkole zasadniczą wartość wychowawczą — pracowitość, szacunek do pracy, szacunek do ludzi pracy, szacunek dla owoców tej pracy. I jeżeli proces dydaktyczny osiąga w tym względzie rezultat negatywny, to żadne środki pozadydaktycznego działania wychowawczego odrobić tego spustoszenia nie są w stanie. Doszliśmy tym samym do punktu, w którym tezę, postawioną pod koniec pierwszego akapitu tych rozważań, trzeba wyraźnie zaostrzyć.

Kamena str. 4

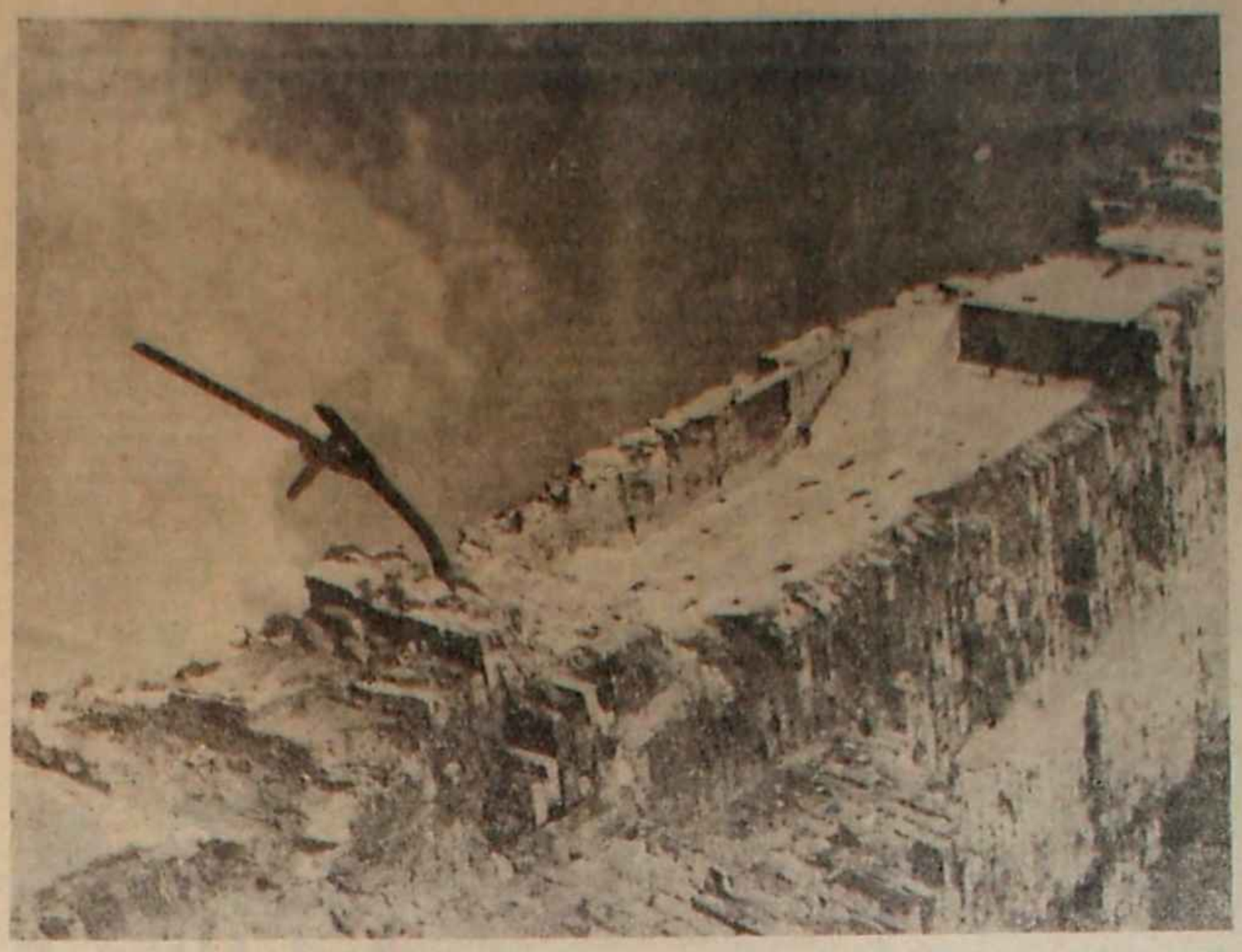

Fot. Danuta B. Łomaczewska

RELACJA O PRZETRWANIU

Romuald Wiśniewski

GDY tylko Niemcy wkroczyli do Lublina, Henryk Dorfsman postanowił opuścić miasto. Od pierwszych dni okupacji zaczęło być gorąco. Aresztowania w domach, łapanki uliczne, deportacje, maltretowanie podczas przesłuchiwań — no i pierwsze egzekucje osób cywilnych, nie poprzedzone choćby fikcyjnymi rozprawami sądowymi. Dorfsman zawsze pilnie czytał gazety, więc wiedział, co działo się w Niemczech od czasu dojścia faszystów do władzy. Oburzało go to, przerażało, ale podejrzewał, że prasa jak prasa, trochę przesadza. Dopiero jednak, gdy zobaczył działanie hitlerowskiej machiny okupacyjnej na ziemiach polskich, zdjął go strach. Wiedział też i widział, że Niemcy ze szczególną brutalnością odnoszą się do Żydów. Chwytali którego popadło, bez względu na wiek, stan zdrowia i zmuszali do najgorszych prac. A on, Dorfsman, miał wyraźnie semickie rysy twarzy i akcent też charakterystyczny, bo uczył się tylko w żydowskiej szkole, więc był pełen obaw, że przy pierwszej lepszej okazji może mieć kłopoty.

Postanowił zniknąć z miasta i przeczekać gdzieś te kilka miesięcy. No bo wtedy wierzył jeszcze, tak jak wierzyły miliony, że to tylko sprawa miesięcy. Jeszcze przecież nie skapitulowały oddziały polskie walczące pod wodzą generała Kleeberga, jeszcze liczono na Anglię i Francję. Opuścił zatem Lublin. Nie było to żadne przedsięwzięcie trudne, czy ryzykowne. Mężczyzna 35-letni, w pełni sił, dobry krawiec damski i męski, mógł liczyć, że wszędzie znajdzie pracę. Zabrał ze sobą maszynę do szycia marki „Singer", komplet innych przyborów, torbę nici i razem ze swoim uczniem, 18-letnim Jakubem Ledermanem, udali się do odległej o kilka kilometrów wsi Kalinówka. W Lublinie, w mieszkaniu przy ul. Bychawskiej 18, pozostawił żonę i dwie małe córki. Rozstawał się z nimi bez obaw, bo był pewien, że nawet w czasie wojny przedstawiciele starego, kulturalnego narodu niemieckiego kobiecie i dzieciom najmniejszej krzywdy nie uczynią.

W Kalinówce Dorfsman i Lederman otrzymują schronienie w zagrodzie Jana Dyzmy. Rolnik ten nakupił tkanin, a oni obszyli mu całą rodzinę, za co jedli, pili, spali i zarobili jeszcze trochę pieniędzy. Po Dyzmie następnym ich gospodarzem był Jan Jusiak. Stamtąd przeszli do wsi Biskupie, znajdując gościnę u sołtysa Józefa Skowronka, potem u bogatego chłopa Andrzeja Kołtunika, potem znów u Józefa Packa, potem przez 4 tygodnie w kolonii Świdnik u Józefa Wilkołaka. I tak wędrował od jednego domu do drugiego. Właściwie to nawet trudno powiedzieć, że wędrował. Gdy opuszczał kolejnego opiekuna, ten miał już zapewnione dla niego nowe schronienie. Cała chyba okolica, cała ludność polska w gminie Wólka wiedziała, u kogo w danej chwili przebywa żydowski krawiec, który uciekł z Lublina. A to już zaczęło być nielegalne; Niemcy ogłosili, że za przechowywanie Żydów grozi kara śmierci przechowującemu i całej jego rodzinie. Sytuacja pogarszała się zresztą z dnia na dzień. Już nie oczekiwano lada chwila Anglików. Poprzez rolników jeżdżących do Lublina Dorfsman dowiadywał się o losy swej rodziny. Zmieniły się one bardzo. Żona i córki od dawna znajdowały się w getcie. Pani Leokadia pracowała w gorzelni Silbera i stąd miała przepustkę na wyjście do miasta. W roku 1941, wobec zwiększającej się liczby ofiar w getcie, Dorfsman postanawia sprowadzić żonę na wieś. Kontaktuje się z nią poprzez swoich gospodarzy. W oznaczonym dniu Dorfsmanowa korzystając z przepustki, zamiast udać się do pracy, bierze dzieci, pierzynę, kilka drobiazgów i idzie do podlubelskiej osady Głusk, w której mieszkała matka jej męża oraz jego brat, Szyja, z żoną i dzieckiem. Tam czeka już na nią pewien gospodarz z Zadębia, który zawozi ją furmanką do kolonii Świdnik.

— Nawet nie pamiętam, jak się nazywał — mówi Henryk Dorfsman. — Tylu ludzi mi pomagało, niektórych znałem tylko z widzenia, wiedziałem, że mają na imię Wojciech, Jan czy Stanisław, nieraz nie wiedziałem i nie miałem czasu dowiedzieć się... A po wyzwoleniu zabrałem się zaraz do krawiectwa. Z wieloma z tych ludzi spotykam się często, prywatnie lub zawodowo. Niektórych natomiast nie widziałem od tamtych czasów. Może powinienem poświęcić urlop i próbować odszukać ich, dziękować raz jeszcze. Lecz, proszę pana, cóż znaczą moje podziękowania, wobec tego, co zrobili dla mnie i mojej rodziny. Żebym starał się nie wiem jak, nie odwdzięczę się żadnemu. Ryzykując bezinteresownie swoim życiem, ratowali nasze. W dwie godziny po odjeździe mojej żony i dzieci z Głuska wpadła tam ekipa niemiecka i u miejscowych Żydów przeprowadzono rewizję. Znaleziono 11 zamiejscowych Żydów, których natychmiast rozstrzelano. O te dwie godziny moja żona wyprzedziła swoją śmierć...

Przez dłuższy czas Dorfsmanowie przebywali u sołtysa kolonii Świdnik, Józefa Niećki. Potem kilka tygodni u inżyniera Morawskiego w Kalinówce, potem u jego sekretarza, Zawadzkiego... Przebywali już bez Ledermana, bo ten nie wiedząc, czy żyje jego rodzina, w pierwszych dniach roku 1942 mimo perswazji gospodarzy udał się do Lublina, gdzie został aresztowany i rozstrzelany. Rok 1942 to straszny rok. Z Kalinówki widać dymy krematorium na Majdanku. Niemcy prześcigają się w zbrodniach. Dorfsmanowie stale dowiadywali się, że ten chłop z okolicy został wywieziony na roboty, ten aresztowany, ten zamordowany. Trzeba coraz bardziej uważać. W pobliskich Bystrzejowicach jeden z gospodarzy przechowywał w stodole kilkunastu Żydów. Pewien młody chłopak, Polak, zawiadomił o tym gestapo. Przyjechała grupa Niemców, otoczyła stodołę, kazała im wychodzić. Niemcy przyzwyczajeni byli do biernej postawy Żydów, a tymczasem ci w stodole mieli trochę broni, otworzyli ogień do swoich prześladowców i pod jego osłoną większość uszła z życiem. W kilka dni później polscy partyzanci zlikwidowali denuncjatora. Ukaranie zdrajcy poprawiło samopoczucie Dorfsmanów wstrząśniętych tym wypadkiem i zdających sobie sprawę, że o nich wie cała okolica. Ale pomoc chłopów jeszcze nie jest gwarancją bezpieczeństwa, nie mówiąc już o tym, że wtedy nikt takiej gwarancji nie miał. Dorfsmanowie obciążeni są dwiema małymi córkami. Ani uciekać z nimi, ani iść do lasu. Przy takim zaś wędrowaniu od jednego gospodarza do drugiego można wpaść zupełnie przypadkowo. Trzeba więc koniecznie rozejrzeć się za stałym schronieniem. Dorfsman wie, że je znajdzie. Przez te trzy lata tułaczki poznał Polaków doskonale, jak nigdy przedtem. Poznał ich ofiarność, odwagę, solidarność; w latach próby okazali mu znacznie więcej braterskiego serca, niż w czasach spokoju, kiedy nie musiał się nikogo obawiać. — Zresztą — mówi — nigdy nie spotkała mnie żadna przykrość ze strony Polaków. Zawsze żyłem z nimi w przyjaźni. Nigdy też nie ukrywałem, że jestem obywatelem polskim narodowości żydowskiej. To ojciec mnie tego nauczył.

28 grudnia 1942 roku Dorfsmanowie znaleźli się u mieszkańca kolonii Świdnik, Jana Kowalczyka. Zabudowania leżały przy szosie do Melgwi, a w dodatku o 20 metrów od płotu stał barak, w którym kwaterowali żołnierze niemieccy pilnujący pobliskiego lotniska polowego. Kowalczyk, mężczyzna pod czterdziestkę, średniorolny, mieszkał z rodzicami, żoną Franciszką i trojgiem dzieci w wieku szkolnym. Dom ich składał się z pokoju z kuchnią i drugiego pokoju nie wykończonego. W sumie — ani za luźno, ani na odludziu. Kowalczyk wydał się jednak Dorfsmanowi człowiekiem wyjątkowo poważnym i opanowanym, więc zapytał go, czy zgodziłby się przechować miesiąc — półtora, jak to było u poprzednich gospodarzy. „Dobrze — odrzekł Kowalczyk. — Może pan tu być tak długo, jak się to uda".

Początkowo przybysze mieszkali w jednym pokoju z gospodarzami. Po miesiącu doszli wspólnie do wniosku, że jest to zbyt niebezpieczne i Kowalczyk urządził swym gościom lokum na strychu nad oborą. Spali na słomie, przykrywając się pierzyną przyniesioną przez Dorfsmanową z Lublina. Wczesnym świtem Dorfsman schodził ze strysz ku i przemykał się do mieszkania gospodarza, gdzie szył na maszynie Kowalczyków. Swoją maszynę oddał wcześniej w depozyt wójtowi gminy Wólka, Parolowi, a ten z kolei wypożyczył ją na kurs szycia do szkoły. W wypadku niebezpieczeństwa Dorfsman miał dwie możliwości ucieczki: do piwnicy, lub przez okno pokoju do ogrodu. Wieczorem wracał na górkę. W nocy żona i dzieci wychodziły przejść się po podwórzu; w dzień robiły to tylko wyjątkowo, korzystając przy tym z czujności psów gospodarza. I tak dzień po dniu, zimą, wiosną, latem, jesienią, następną zimą, wiosną latem... Męczyły ich monotonność, brak ruchu, ciasnota, niewygody. Ale żyli. Żyli i to było najważniejsze. A wokół szalała śmierć. Kilka razy przeszła tuż obok. Oto podczas wymiany załogi baraków zginęło kilkanaście koców. Niemcy podejrzewając o tę kradzież rolników mieszkających w pobliżu, przeprowadzili u nich rewizje. Do Kowalczyka wpadli w czasie jego pobytu z rodziną w kościele. Dorfsman ledwo zdążył uciec na strych. Niemcy przetrząsnęli wszystkie pomieszczenia, z wyjątkiem właśnie tego strychu. W chlewie zobaczyli wielką niekolczykowaną maciorę. Na drugi dzień przysłali inną komisję, w sprawie tej maciory, lecz gospodarz przygotował na ich przyjęcie dobry obiad z wódką i dali się tym ułagodzić. Kilka razy przychodzili inni Niemcy, raz do obory wpadli Ukraińcy w poszukiwaniu kurczaków, lecz też nie zajrzeli na górę. To teraz opowiada się tak lekko, a przecież gdyby którakolwiek z tych nieoczekiwanych wizyt zakończyła się odkryciem Dorfsmanów, zarówno oni, jak i ich gospodarze ponieśliby śmierć.

Letnią nocą 1943 roku Dorfsman zdecydował się opuścić swą skrytkę i udać do jednego z chłopów, u których mieszkał poprzednio, po pozostawioną tam walizkę z bielizną. W czasie przechodzenia przez szosę natknął się nagle na stojący na poboczu samochód z żołnierzami. Schwytali go i zawieźli na Majdanek. Nie dlatego, że był Żydem. Nie wyglądał dla nich na Żyda, pomimo swych semickich rysów. Był normalnie ubrany, ogolony, nie wygłodzony — a oni w tym czasie nie znali już takich Żydów. Więc zabrali go tylko za brak dokumentów i chodzenie po nocy. Na Majdanku — na powitanie bez przesłuchania — zbito go do siności i zagoniono do pracy. I zaraz przy niej, załadowując na platformę konną, powożoną przez polskiego furmana, jakieś graty, wyjechał na niej poza druty obozu. Spytał woźnicę, czy może się przysiąść, tamten mruknął „siadaj pan — tylko bez rozmów". Sam nie wie, jak to się stało, że przepuścili ich przez bramę, pewnie dlatego, że miał na sobie zwykłe, cywilne ubranie i mógł uchodzić za robotnika. Gdy oddalili się nieco od obozu, furman znów powiedział „wiej pan — tylko bocznymi drogami". I to była cała rozmowa z jego kolejnym wybawcą. Polami, już po zmroku, dotarł do zabudowań Kowalczyka. 11 maja 1944 roku do Kowalczyka przyszła pani Kina Morgenstern z córką i szwagierką (obecnie przebywające w Izraelu), które do tej pory ukrywały się u jakiejś rodziny polskiej w Lublinie. Poprosiły o schronienie. Gospodarz zadecydował, że przyjmie je. „Czy za troje, czy za siedmioro, jednakowa kara" — powiedział swej żonie. Morgensternowe zresztą, które przed wojną miały sklep tekstylny przy ul. Bychawskiej, posługiwały się poprawnym językiem literackim, nie wyglądały na Żydówki, więc kręciły się po obejściu nawet w dzień. Najtrudniejsze dni przeżyli jednak dopiero w lipcu 1944 roku. Niemcy zabrali ich gospodarza na podwodę i Kowalczykowa, niepewna losu męża, musiała sama zajmować się swymi gośćmi.

Kowalczyk wrócił w dniu wyzwolenia. A nazajutrz Dorfsmanowie przenieśli się spod jego gościnnego dachu do Lublina. Teraz dopiero Henryk zrozumiał, czym była okupacja. Bo właściwie tam, w kolonii Świdnik, słyszał, ale nie widział. Nawet na Majdanku widział niewiele, właściwie zaledwie otarł się o obóz.

* * *

Siedzimy obecnie w mieszkaniu Dorfsmana i choć to dla nas oczywiste, i choć to już tyle lat po wojnie, jesteśmy nawzajem zdziwieni swymi doznaniami. On, w czasie wojny dorosły mężczyzna, Żyd, nie widział egzekucji, nie widział nieprzytomnych ze strachu matek niosących swe dzieci na miejsce straceń, nie widział ludzi w pasiakach zaprzężonych zamiast koni do wozu, nie spotkał się z nienawiścią, nie widział nawet getta. Ja, Polak, wtedy mały chłopiec, widziałem to wszystko, a na getto, w innym wprawdzie mieście, spoglądałem dzień po dniu, oddzielony od Żydów zaledwie szerokością małomiasteczkowej ulicy. Wielu rzeczy nie może zrozumieć Henryk Dorfsman. Nie wie na przykład, dlaczego tylu jego współrodaków poszło biernie na śmierć, nie próbując nie tylko zbrojnego oporu, ale choćby ucieczki. „Polacy choć ginęli sami, pomogli tylu Żydom a przy ich większej aktywności pomogliby jeszcze innym" — mówi. Dopiero po wyzwoleniu dowiedział się, co stało się z pozostałą jego rodziną. Ojciec zmarł śmiercią naturalną i pochowany został w Głusku. Ale matkę Niemcy zastrzelili w lesie pod Mętowem; do dziś Henryk nie odnalazł jej mogiły. Zginęli także: trzy jego siostry z mężami i dziećmi, oraz dwaj bracia ze swymi rodzinami; razem 21 osób.

— Proszę pana, zaraz po wojnie spotykałem sporo znajomych mi sprzed wojny Żydów, których uchronili Polacy — mówi mi Dorfsman. — Arbuzowie, cała rodzina, wyjechali po roku 1945 do Izraela. Kormanowa, matka i dwie córki — też do Izraela, Berek Ślimak, co mieszkał po sąsiedzku, jest w USA, a jego żona, Czarna, w Izraelu. Wajsbrotowie, Wajskopowie, Tysz, Leder, Szmulewicz i Kawowie są w Lublinie. Grinbergowie z Osmolic ukrywali się całą wojnę u chłopa w Osmolicach i dziś część z nich mieszka w USA, a część w Izraelu. Lewandowski z córką ukrywał się u chłopa w Zemborzycach. Rochwergowie z drugą rodziną Arbuzów ukrywali się w Krężnicy. Sara Arbus przesiedziała wojnę w mieszkaniu jednej rodziny na Dziesiątej w Lublinie.

Dorfsman pozostał w Lublinie. Jest krawcem, szyje na swoim starym „Singerze", zwróconym mu przez szkołę. Od czasu do czasu jeździ do Głuska na grób ojca. Gdy zobaczył, że na cmentarzu żydowskim ktoś pasie krowy, zwrócił się do władz miejscowych i do tamtejszego proboszcza z prośbą o zaopiekowanie się cmentarzem. Obie strony przyrzekły pomoc i obie dotrzymały słowa. Cmentarz obsadzono drzewami i przychodzą tam wypoczywać dzieci szkolne. Od czasu do czasu bywa pan Dorfsman u niektórych gospodarzy, szczególnie często u Kowalczyka. Nie zna jednak wszystkich, nie potrafi przypomnieć sobie twarzy wszystkich ludzi, którzy podali mu wtedy pomocną rękę. Niektórzy porozjeżdżali się gdzieś tam po Polsce. Gdzieś tam po świecie porozjeżdżało się też tylu Żydów, którzy podobnie jak on przeżyli wojnę dzięki pomocnej polskiej ręce. Gdzieś tam w świecie rozpętano hecę propagandową o tym, jak to Polacy pomagali Niemcom w prześladowaniu Żydów. I gdzieś tam żyje sobie spokojnie, dostatnio, w szacunku współobywateli, wielu tych Niemców, którzy mordowali Dorfsmanów, Apfelbaumów, Rozenkrojców, Baumanów, Moszkowiczów, Aszkenazych... I nie ma krzyku.

Proces dydaktyczny — to nie tylko środek działania wychowawczego wszelkiej szkoły, ale **główny** środek działania wychowawczego.

Tak się zwykle dzieje, że gdy nieudolnie czy niedbale prowadzony proces dydaktyczny prowadzi do powstania u młodzieży obojętnego lub co gorsza — wrogiego stosunku wobec nauki, uczenia się (a w konsekwencji wobec pracy w ogóle), wówczas rodzą się wyjątkowo szerokie zapotrzebowania na **pozadydaktyczne** formy działania wychowawczego. Gdy nauczyciel uświadamia sobie, że jego wysiłek dydaktyczny nie daje należytych rezultatów wychowawczych, co między innymi może się przejawiać w niewłaściwym zachowywaniu się młodzieży w czasie zajęć (lekcji, wykładów, seminariów), wówczas skłonny jest on przypuszczać, że jego wysokie powołanie polega tylko na nauczaniu, zaś dla wychowywania powinno się powołać specjalne instytucje, specjalne osoby, specjalnych wychowawców, opiekunów itd.

W istocie rzeczy niepowodzenie takiego nauczyciela nie jest tylko niepowodzeniem wychowawczym; sięga ono głębiej — nauczyciela tego spotkało niepowodzenie **dydaktyczne**, do którego nie chce się jednak przyznać. Rzeczywiście poważne kłopoty wychowawcze pojawiają się właśnie wtedy, gdy następuje to nienaturalne rozdwojenie procesu dydaktyczno-wychowawczego. A już szczególne kłopoty pojawiają się wówczas, gdy owo rozdwojenie przebiega niejako przez jedną i tę samą osobę. Jest tak wówczas, gdy zły nauczyciel w toku swej pracy dydaktycznej tworzy złe skutki wychowawcze, zaś jako wychowawca klasy, opiekun grupy, roku studiów, koła naukowego, organizacji młodzieżowej, ma negatywne skutki swej własnej pracy nauczycielskiej naprawiać. Niczego taki nauczyciel nie naprawi, a tylko jeszcze może zaszkodzić.

Osiągnięcie sukcesu wychowawczego przez szkołę w zakresie kształtowania wartościowego człowieka, obywatela państwa socjalistycznego, wartościowego członka społeczności wytwórczej zależy od harmonijnego współdziałania zespołu nauczającego, młodzieży oraz szeroko pojętego środowiska społecznego. Formy działania wychowawczego mogą, a nawet muszą być różne, wszelako zintegrowane działanie tych różnych form zależy od tego, czy szkoła dostrzega i właściwie rozumie **główny** czynnik wychowawczego oddziaływania i czy potrafi mu podporządkować wszystkie inne środki. W szkole tym głównym czynnikiem działania wychowawczego zgodnie z zasadą **wychowywania poprzez pracę** jest proces nauczania, proces dydaktyczny, angażujący w maksymalnym stopniu zarówno nauczycieli jak i młodzież. W szkole wyższej należy dodać do tego jeszcze twórczość naukową pracowników uczelni, prowadzoną tak i tak popularyzowaną, aby również studenci czuli się współtwórcami atmosfery sprzyjającej rozwojowi nauki, aby czuli się moralnymi współuczestnikami twórczości naukowej swoich nauczycieli.

Rezultatem właściwego funkcjonowania głównego czynnika wychowawczego szkoły jest kształtowanie najwyższej wartości ogólnoludzkiej człowieka — **pracowitości**, szacunku do pracy innych i do owoców pracy. Rzecz zrozumiała, że właściwe funkcjonowanie owego głównego czynnika wychowawczego działania szkoły jest wielorako uwarunkowane. Wszelako na czoło wysuwa się tutaj, jak sądzę, uwarunkowanie ze strony **osobowości** nauczyciela. Ale o tym — za dwa tygodnie.

Zdzisław Cackowski

Kamena str. 5

Vitezslav Nezval

Motto

Oddałem kartkę swoją na rzecz rewolucji
bo jestem z tych co czują fatalną potrzebę szczęścia!
Przeciwko wszystkim którzy mózgami bez uczuć
gromadzą więcej
niźli można wyczerpać w jednym życiu
Wywłaszczać ich z potęgi
i zmusić wojska by czujnie baczyły
na wszystkich tych co chcą gromadzić
Ponieważ jestem z tych co czują fatalną potrzebę
szczęścia
a kiedy prosty sens poznałem życia
chcę mieć prawo je przeżyć
Dlatego kartkę swoją oddałem na rzecz rewolucji
Mam prawo ją przeżyć

Ton

Za greckich czasów z pewnością nie istniały elementarze
gdzie są wymalowane atrament czapka i pióro
inaczej Homer nie śpiewałby tak patetycznie
ani też nie istniały piękne sonatiny
Homer jest nauczycielem poetów tęskniących za sławą
tymczasem poezja którą kochają
wypływa z elementarza

Gdy czuję się najszczęśliwiej mówię po prostu

Centaury

Centaury i Centurioni
wiodą odwieczne zapasy,
kto kogo dogoni,
Centaury i Centurioni.

Brauning i sztylet za pasem!
Centurion jedzie na koniu,
Centaur go dogoni?
I po co te zapasy?

Rozleciał się domek z kart,
przemknęła śmierć przez świat,
Ta wszystko i wszystkich przegoni.
Kto wygrał w tych zapasach?
Centaury? Centurioni?

Pieśń marszowa

Idzie cielę na zarżnięcie,
drży z innymi wraz!
Idzie cielę na zarżnięcie,
beczy, skarży się zawzięcie —
raz, raz!

Idzie lotr na szubienicę,
kark mu skręci pas.
Idzie lotr na szubienicę,
zdałaby się ona wszystkim —
raz, raz!

Idzie sobie śmierć niemrawa,
Idzie wolno, śmierć ma czas.
Idzie sobie śmierć niemrawa,
kroczy cicho, lewa, prawa —
raz, raz!

Moje serce

Dziwnie w piersi się porusza,
jakby było mu tam ciasno.
Rad bym dać wam całą duszę,
wszak w mej głowie jeszcze jasno.

Przecież dotąd mam w swym stole
sto nie dokończonych listów.
Serce, serce, przestań boleć,
coś ty za stenotypista!

Mam napisać zbiorki całe,
stogi zżółkłych spadłych liści.
Bijesz, serce me, z kochania
czy też bijesz z nienawiści?

Bacz na swego dyrygenta!
Krok żołnierski! — trata-trata!
Serce, niechaj ból cię nęka,
ale służ mi długie lata.

Przełożył **K. A. Jaworski**

(W kwietniu br. minęło 10-lecie śmierci tego wybitnego poety czeskiego. RED.).

Kuszenie eksperymentem

Maciej Podgórski

ISTNIEJĄ ludzie, którzy mając ostatecznie na oku całkiem poważne cele, opowiadają nam rzeczy zgoła... nonsensowne lub przynajmniej niesłychane. Budują światy o proporcjach nie spotykanych w realnej rzeczywistości: *Pokój zapełnia się chrapaniem jak kłębami chmur, które rosną, piętrzą się, podnoszą na swym skłębieniu doktora Gotana wraz z jego łóżkiem, coraz wyżej i wyżej — wielkie patetyczne wniebowstąpienie na falach chrapania i wzdętej pościeli.* Albo ludzie ci przedstawiają fakty, które raczej zdarzyć się nie mogły: *Samoloty myśliwskie VX, przed pół rokiem uznane za cud techniki, zostały ostatnio wycofane z linii. Ich miejsce zajęły doskonalsze VZ. Przestarzałe VX oddano szkolnictwu średniemu. Chłopcy nazywali myśliwce »fauiksiakami«. Dziewczęta mówiły »fauiksiątko«.* Względnie taka historia o jegomościu, co przespacerował po Warszawie bez zasadniczej części garderoby: *Trzymał pod pachą teczkę. Miał owłosione nogi, nosił podwiązki, kalesony opadały mu nieco.* A goniący za swoimi sprawami obywatele nawet nie dostrzegli tego bądź co bądź niecodziennego wydarzenia.

Pisarze opowiadający nam o takich sprawach, które nie zawsze zresztą są tak zabawne i z pozoru błahe, zrywają z zasadniczym kanonem realizmu — życiowym prawdopodobieństwem ukazywanych b e z p o ś r e d n i o wypadków. Twórczość tego rodzaju nazywa się g r o t e s k ą. Na terenie literatury obcej miała ona swojego wielkiego przedstawiciela w osobie austriackiego prozaika Franza Kafki (1883—1924), autora m. in. „Procesu" i „Zamku" (tłumaczonych i wydanych w Polsce). Można tu też wymienić francuskiego pisarza Henri Michaux, autora wydanego u nas w r. 1966 świetnego tomu „Niejaki Piórko". W literaturze polskiej przed wojną nurt ten reprezentowali: autor cytowanej wizji... chrapania, nieżyjący już Bruno Schulz („Sklepy cynamonowe", „Sanatorium pod Klepsydrą" — powojenne wydanie zbiorowe dzieł w r. 1964) oraz Witold Gombrowicz (m. in. „Ferdydurke" — wyd. w r. 1957), a także Michał Choromański.

Groteska przez swoją, wypływającą z deformacji i wyolbrzymienia, nonsensowność jest często zabawna. I już samo to zachęca nas do czytania. Ale też najczęściej nie czysty nonsens lub płocha zabawa przyświecają autorom.

Przeciwstawiając się uporządkowanej, racjonalnej rzeczywistości prozy realistycznej, zacierając granice między realnością a wizją senną, rozbijając porządek przyczynowo-skutkowy, bywa groteska sygnałem dziedzin rzeczywistości osiągalnych tylko w subiektywnym — emocjonalnym lub zmysłowym — doznawaniu świata, który przecież nie zawsze daje się aktualnie do końca wyjaśnić. Tak jest właśnie u Schulza. Co więcej — odcinając się od opisywania obiektywnej rzeczywistości, protestując niejako przeciw niej, bywa groteska niejasnym przeczuciem rodzących się w obrębie owej rzeczywistości kataklizmów, które potem wybuchną z wielką siłą, ale których aktualnie nie dałoby się zrozumieć. Monstrualne wizje Kafki w pewien sposób zapowiadały katastrofę faszyzmu w Europie, zapowiadały los zgotowany człowiekowi przez obłędny, totalny system (co nie przeczy uniwersalnej wartości dzieła Kafki). Jako podobny sygnał można uznać u nas pisarstwo Schulza, wyraz irracjonalnych niepokojów i koszmarów snujących się po ospałych z pozoru, żydowskich miasteczkach Galicji.

Lecz najczęściej groteska tropi w naszym uporządkowanym świecie te jego — by tak powiedzieć — układy, które stały się martwe, nie odpowiadają rzeczywistym, najgłębszym zapotrzebowaniom i perspektywom życia społecznego oraz jednostkowego, ale które to układy są jeszcze na tyle silne, że funkcjonują nadal, potrafią decydować o ludzkim postępowaniu, upodobaniach i dążeniach, potrafią zniewolić człowieka, odebrać mu poczucie względnie samodzielnego kształtowania własnego losu, potrafią — „upupić". Groteska odnajduje to w najprzeróżniejszych zakresach — od stereotypu przebrzmiałych konwencji literackich, przez sztuczne mechanizmy obcowania ludzi między sobą, wyrażania uczuć, reagowania na świat, aż do martwych, zaściankowych... „ideałków" wraz z ich „instytucjami". Inaczej — groteska demaskuje wszystko to, co w naszym życiu jest „drętwą mową"... w sensie szerokim (i wąskim także).

I w tym miejscu ostateczna RACJA tego typu groteski daleka jest od wszelkiej irracjonalności. Wręcz odwrotnie — pokazane nastawienie utworów opiera się na całkiem zracjonalizowanej analizie konkretnego wycinka świata i przekonaniu o szkodliwości opisywanych mechanizmów i układów.

Ale mógłby ktoś zapytać, co ma wspólnego brak spodni u pewnego jegomościa, czy przekazanie szkolnictwu „fauiksiaków", z racjonalnym demaskowaniem stereotypów życia i świadomości ludzkiej? Słowem — co ma wspólnego nonsensowny świat groteski ze światem faktycznie istniejącym? A ma, i to

Przed maturą

bardzo wiele! Trzeba tylko uważnie czytać taki utwór, nie poprzestając na zewnętrznym komizmie wydarzeń, usiłując odnaleźć ich symboliczną a n a l o g i ę w stosunku do świata obiektywnego, zrozumieć p a r a b o l i c z n o ś ć utworu.

Groteska przedstawia sytuacje m o d e l o w e, które nie mają, jak u realistów, naśladować rzeczywistości w całym bogactwie (lub u d a w a ć to naśladownictwo, bo realizm wszelako jest także pewnym wyborem), lecz mają wyselekcjonować najbardziej ogólne cechy realnego zjawiska, z a r a z e m w y j a s k r a w i ć te cechy i sprowadzić je do a b s u r d u, a tym samym intelektualnie unicestwić. To, co dla pisarza-realisty musiałoby stać się terenem żmudnych analiz, problemem „malowania" panoramy społecznej, konstruowania wnikliwego obrazu ludzkiej psychiki, zabiegów często niewspółmiernych do samego problemu, to wszystko groteska oddaje skutecznie przy pomocy metaforycznego s k r ó t u. Posiada przy tym częstokroć sens bardziej może uniwersalny niż zbratana ściśle z historią powieść czy nowela realistyczna, a przecież trudno negować istnienie sytuacji ludzkich powtarzających się pod niebem różnych epok.

Wróćmy do naszych przykładów. Oto podążający ludnymi ulicami Warszawy jegomość... bez spodni. Każdy spieszy przed siebie, pilnie zajęty tzw. codziennymi sprawami (i sprawkami). Nikt więc nie spostrzega dezabilu naszego „bohatera" i nikt nie dziwi się. Nawet jego (bohatera, nie dezabilu) własna żona, kiedy wkracza on do domu (już całkiem nago!), powiada tylko: *zdawało mi się w pierwszej chwili, że zmieniłeś uczesanie czy coś w tym guście. Oj, co ja się za mięsem dziś nastałam. Zaś w radio smutnym, poważnym głosem zaczął mówić spiker: »Dla ciężko chorego poszukiwany jest lek pod nazwą aspiryna. Powtarzam: as-pi-ryna...«.* Oto wyjaskrawiony obraz naszej codzienności, naszego „zagonienia", obojętnej rutyny życia. Tragikomiczna jest też skala „protestu" owego „bohatera", protestu tak samo mialkiego i bezsensownego jak i cała ta ślepa krzątanina w obrębie powszedniości. Całość ma tytuł — „Herostrates"! Drugi przykład — o „fauiksiakach" — pochodzi z tekstu, który pokazując oswojenie się człowieka z tzw. zdobyczami techniki, obnaża równocześnie ludzką obojętność wobec dehumanizującej groźby, jaką „zdobycze" owe niosą.

Omawiany ostatnio typ groteski stoi w wyraźnej analogii do twórczości s a t y r y c z n e j z jej zaangażowaniem w aktualne sprawy i możliwością szybkiej reakcji pisarza na te sprawy (stąd „ulubiona" przez groteskę mała forma prozatorska), choć istnieją tu różnice, które pogłębiają się tym więcej, im bliżej uniwersalnej groteski typu Kafkowskiego (bliski jej bywał Schulz). Te kwestie przekraczają jednak zadania mojej pogadanki, tak samo jak i precyzyjniejsze odróżnienie groteski od innych rodzajów prozy „deformującej".

Kiedy po roku 1956 model realizmu przestał być jedynym obowiązującym kanonem „artystyczności" i kiedy stała się możliwa szersza dyskusja i polemika „od wewnątrz", wówczas groteska poczęła u nas przeżywać swój renesans. Do dziś jest zresztą żywotną zdobyczą naszej prozy. Muszą tu paść nazwiska Mrożka („Postępowiec", „Wesele w Atomicach", „Deszcz"), Zielińskiego (m. in. „Statek zezowatych", skąd zaczerpnąłem przykład o „fauiksiakach"), Dygata (opowiadania zebrane w obszernym tomie „Na pięć minut przed zaśnięciem" — tu historia naszego jegomościa), Ziemnego („Partia macao", „Dziesiątka"), Dymnego („Opowiadania zwykłe")... Jest to rejestr nazwisk i książek przykładowy tylko.

Trzeba przyznać, iż popularniejszy u nas był i jest typ groteski-satyry. Mniej natomiast wyzyskuje się tradycje Kafki, które także mieszczą się w obrębie workowatego nieco pojęcia groteski, jakiego tutaj z konieczności używam. Dość daleki od aktualnej satyry obyczajowo-politycznej, był Kafka konstruktorem wizji anonimowych, wyobcowanych mechanizmów nieubłaganie podporządkowujących sobie człowieka, był wyrazicielem ludzkiej samotności jako stałej cechy egzystencji. Tę problematykę podejmą, i w pewnym stopniu rozwiną, polscy pisarze na gruncie w zasadzie innego typu prozy niż groteska. O pewnym rodzaju tej prozy trzeba tutaj nieco pomówić.

* * *

Kiedy mowa o „reformie" powieści europejskiej w XX stuleciu, spadają z krytyckiej ambony — i nie bez słuszności — nazwiska Marcela Prousta (1872—1922) i Jamesa Joyce'a (1882—1941). Pierwszy — Francuz — to autor monumentalnego cyklu „W poszukiwaniu utraconego czasu", którego przekładem utrudził się w Polsce — jeszcze przed wojną — Boy-Żeleński. Drugi — Irlandczyk piszący po angielsku — znany jest w świecie przede wszystkim jako autor „Ulissesa" i „Finnegans Wake", dzieł na język polski dotąd nie przełożonych, a w każdym razie w całości nie opublikowanych (istnieje podobno przekład „Ulissesa" dokonany przez M. Słomczyńskiego — niewielkie tylko fragmenty ukazały się w kilku naszych periodykach, np. „Twórczość" 1958, nr 3; z drugiego utworu dwa przełożone fragmenty opublikowano w „Twórczości" 1959, nr 12).

Wpływ, jaki ci dwaj wielcy pisarze-prekursorzy wywarli na prozę europejską, a za jej pośrednictwem i na polską (przy pomocy zresztą różnych infiltracji artystycznych), jest ogromny — ujawnia się to szczególnie w zakresie techniki narracyjnej (sposobu opowiadania i konstruowania zdarzeń).

Zacznijmy więc od owej „techniki". Jest ona zdecydowanym przeciwieństwem tego, co o narracji powieści realistycznej mówiłem w poprzednim odcinku cyklu. Abstrakcyjna wypowiedź narratora w trzeciej osobie zostaje tu zastąpiona konkretną relacją z pozycji „ja". Ale nie dość na tym, gdyż takie wypadki były znane i w XIX wieku (choćby w gawędzie prozą).

Ukonkretnienie sytuacji opowiadającego (narratora) jest tu posunięte niezwykle daleko. Będąc centralnym bohaterem opowieści, odnotowuje on jakby na bieżąco, nieledwie sekunda po sekundzie, zgęszczoną magmę mikrozdarzeń, które wyłaniają się w sposób nieupo-

(Dokończenie na str. 11)

KSIĄŻKI MAJĄ SWE LOSY

Leszek Prorok

ZDARZENIE jest autentyczne, choć nie pamiętam, gdzie się wydarzyło. W kawiarni niedużego miasta spotkali się przypadkiem dwaj zaprzyjaźnieni literaci, jeden z Poznania, drugi z Warszawy. Każdego przywiodły tu jakieś sprawy, obaj mieli niewiele czasu — kilka godzin zaledwie. Każdy zwierzył się, iż w małym lecz ciekawym mieście jest po raz pierwszy i po załatwieniu interesów zamierza obejrzeć koniecznie przynajmniej ważniejsze zabytki i miejscowe ciekawostki. Zakończyli śniadanie słowami: — pewno jeszcze się spotkamy, i rozeszli się. I rzeczywiście po południu zderzyli się nosami w wąskim przejściu między stłoczonymi regałami miejscowej księgarni. Każdy wstąpił na chwilkę, by zobaczyć, co znajdzie z nowości i ugrzązł na dłużej. Każdy później tłumaczył, że zatrzymała go nadzieja trafienia na ostatnich Mohikanów z wyczerpanych nakładów. Mohikanów jednak i tutaj nie było.

Zabawne a zarazem znamienne świadectwo działania najszlachetniejszego narkotyku, jaki kiedykolwiek ludzkość zażywała. Szacownym pomnikom owego miasta przygoda sympatycznych narkomanów książki ujmy nie przynosi. Ostatecznie wolny czas poświęca się najchętniej schlebianiu własnym słabościom.

Przychodzi w ciągu roku czas, gdy wszyscy na raz wydani jesteśmy na łup podobnej pokusie i najczęściej jej ulegamy. Oto w ślad za wczesnym kwieciem wiosennym na naszych ulicach i placach wyrastają dziesiątki kiosków księgarskich. Wabią z daleka wzrok jak wielobarwny kwietnik wabi owady. W miarę jak w ogrodach coraz silniej rozpiera się świeża zieleń, rozpleniają się także wszędzie stoiska z książkami, forpoczty, a następnie główna uderzeniowa kolumna dorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy. Wokół punktów loterii książkowej mrowi się tłumek, na chodnikach rosną zatory kulturalne, najkulturalniejsze.

„Habent sua fata libelli" — książki mają swe losy. Refleksyjny cytat z wiersza łacińskiego gramatyka Terencjana Maurusa powtarzany był wielekroć w różnych epokach, z reguły jednak w tonacji smętnej, elegijnej. Kwitowano nim krzywdy wyrządzone książce; zwięzłą antyczną sentencją opatrywano jak etykietą cudowne ocalenia cennych ksiąg ze zniszczeń, pożarów, z aktów barbarzyńskiego księgoburstwa. W naszym kraju tonacja ta brzmiała smutniej niż gdzie indziej. Pieśń ujdzie cało... stwierdzał wieszcz przewagę tradycji ustnej nad niepewnym zapisem. Księgom nie zawsze się to uda. Mogłyby to potwierdzić np. rozwiane popioły stołecznych bibliotek zgorzałych czasu wojny jak np. księgozbiór biblioteki Krasińskich.

Dziesiątki kiosków, stoisk, witryn i półek księgarskich, które rokrocznie w maju rozkwitają po wsiach i miasteczkach, rozjaśniły formułę rzymskiego poety pogodnym uśmiechem. „Sua fata..." — zalew książki, który sięgnął do każdego osiedla i miliony podniósł do rangi czytelników, a części z nich wcisnął po raz pierwszy do ręki drukowane słowo, też do owych losów należy.

Co najbardziej uderza w społecznym awansie książki polskiej, jaki dokonał się w kilkunastu ostatnich latach, to chyba jego na dobre już utwierdzona zwyczajność w naszym życiu. Oswoiliśmy się z faktem, że w każdym zapadłym kącie czyha na nas książka i zjawisko to już nas niczym nie porusza. Dla młodzieży jest ono stanem normalnym, wyjściowym stanem życia. O jego niezwykłości przypomni czasem artykuł prasowy, który młodszych dziwi, jak swego czasu sześcioletnią dziewczynkę wiejską zdziwiło pytanie przyjezdnego zaciekawionego dużą wyjątkowo ilością anten telewizyjnych na dachach.

— Od kiedy, malutka, jest u was telewizja?

Spojrzała zdziwiona i odpowiedziała:

— Telewizja była zawsze!

Największa zmiana dokonuje się chyba wtedy, gdy reforma przechodzi w zwykłość. Książka polska ma ten próg chyba już za sobą.

Z cyklu: „Miasto na dłoni”

Na 24 południku

Wiktor Łoboda

Hrubieszów

ZAPYTAJCIE o to miasto mieszkańca Śląska, Pomorza, Warszawy...

— Hrubieszów, panie? Służyłem tam rok przed wojną; straszna dziura, nie ma po co jechać — powiedział mi pewien znajomy oficer w stanie spoczynku. — Hrubieszów to już kresy. A jeszcze teraz, gdy znalazł się na samej granicy...

Hrubieszów to rzeczywiście kresy. Tu w pobliżu, w Zosinie, wysunięta jest najdalej na wschód granica Polski — 24 stopni 08 min. Żniatyn, Hulcze, Horoszczyce, Dołhobyczów, Hołubie, Skryhiczyn, Podhorce, Drohiczany, Hrebenne, Hostynne... Wsłuchajcie się w brzmienie tych nazw. Czujecie w nich coś z Sienkiewicza, z „Trylogii”, z Dzikich Pól?

Mam pisać o Hrubieszowie, o mieście, ale w tym wypadku nie sposób pominąć powiatu. Hrubieszów ma 13 tysięcy mieszkańców, lecz 60 procent z nich utrzymuje się z rolnictwa. Nawet w śródmieściu mieszkają gospodarze na 10—15 hektarach ziemi, mają tu nie tylko domy i stodoły, lecz także trzymają cały inwentarz. Pozostałe 40 procent żyje z pracy w administracji, szkolnictwie, handlu i usługach, zwłaszcza w usługach dla rolnictwa. Nie ma tu żadnych zakładów przemysłowych — z wyjątkiem przetwarzających produkty rolne. I nie będzie. Powiat ten, o powierzchni 1721 kilometrów kwadratowych, zamieszkały przez 105 tys. osób, ma najlepsze grunty orne w Polsce, słynne czarnoziemy. Chłopi hrubieszowscy sprzedają corocznie państwu — nie licząc tego, co zużywają na własne potrzeby i co sprzedają na rynek prywatny — 27 tysięcy ton zbóż, 17—20 tysięcy ton ziemniaków i 400 tysięcy ton buraków. Nie są to ilości imponujące jak na tę urodzajną glebę, lecz nie można zapominać, w jakich warunkach osiągane. Przed wojną Hrubieszowskie należało do najbardziej zacofanych obszarów Polski B. Wojna i okres powojenny obeszły się z tym rejonem okrutnie. Do roku 1948 hulały tu oddziały UPA, paliły wsie i mordowały ludność — także i ludność ukraińską, tę, która wykazywała się lojalnością wobec władz. Do roku 1950 działało zbrojne podziemie polskiej skrajnej prawicy i zwykłe bandy rabunkowe. W tej sytuacji całe połacie ziemi leżały odłogiem. Kiedy zaś zapanował spokój, Hrubieszowskie było wyludnione, opustoszałe. Ukraińcy repatriowali się w przeważającej większości do Związku Radzieckiego, część wyjechała na Ziemie Zachodnie, tu pozostali tylko nieliczni. Z pożogi tej ocalała i pozostała na miejscu tylko garstka Polaków. Nie miał więc kto uprawiać tej ziemi. A potem, gdy już miał kto, gdy napłynęli Polacy repatriowani ze Związku Radzieckiego i gdy osiedliło się trochę osób z innych części województwa, a zwłaszcza z biednego, przeludnionego powiatu biłgorajskiego, błędy ówczesnej polityki rolnej spowodowały, że tę ziemię eksploatowano, ale nie inwestowano w nią. Zbyt niepewne było jutro wsi. Dopiero po roku 1956 nastąpiła normalizacja sytuacji. Obecnie 10 proc. obszaru rolnego znajduje się w rękach państwowych gospodarstw rolnych, 4 proc. — spółdzielni produkcyjnych (28 zespołów), pozostałą zaś, przeważającą część posiadają chłopi indywidualni, głównie średniorolni.

Jest to wieś bogata i biedna zarazem. Bogata, gdyż ziemia daje dobre plony, z roku na rok coraz większe. I co roku są większe chłopskie konta w bankach i kasach oszczędnościowych. Biedna, bo wciąż jeszcze zacofana, a w stosunku do Poznańskiego czy Opolskiego zacofana o całe lata. Pieniądze uzyskiwane za ziemiopłody idą na zakup narzędzi i maszyn rolniczych, na wznoszenie nowych budynków gospodarczych i mieszkalnych i inne potrzeby podstawowe. Jest to wieś chłonna, zdolna zakupić o wiele więcej niż może dostarczyć handel. I podobnie jak wszędzie zróżnicowana w poziomie swych umiejętności rolniczych. Roman Lech, I sekretarz KP PZPR, opowiadał mi, że do 15 marca w większości gromad chłopi nabyli już przeciętnie po 150 kg czystych składników nawozowych na hektar. Są wsie, w których wskaźnik ten wynosił średnio 259 kg/ha, lecz są i takie, w których zaniedbane gospodarstwa zużywają tylko 4 kg/ha. Więc kiedy ci ostatni zaczną sypać po 259 kg/ha, będzie można dopiero mówić, że ziemia ta daje takie plony, na jakie ją stać.

Ileż jeszcze pieniędzy i wysiłku potrzeba, żeby to nastąpiło! W upalne dni drugiej połowy kwietnia, kiedy w mieście nie było nawet śladu kałuży, na hrubieszowskim Rynku widziałem wielkie ciężarówki usmarowane błotem po szyby w kabinach kierowców. Były to wozy terenowe, używane głównie przez wojsko, tu służące celom cywilnym, gdyż do wielu miejscowości innymi się nie dojedzie. Widziałem chłopów szurających ciężkimi gumowymi buciorami, umazanymi błotem po wierzchołki cholew. Bez takich butów — ani rusz. Listonosze latem rowerami rozwożą po wsiach pocztę; gdy trochę popada i jest błoto, lub zimą, w czasie zawiei, przychodzą do szkół i za pośrednictwem młodzieży przekazują listy adresatom. Żaden listonosz nie byłby w stanie w czasie kiepskiej pogody w terminie dostarczyć osobiście wszystkich przesyłek. Ze stolicy powiatu do niektórych miejscowości jest ponad 60 km. Sieć dróg jest niewystarczająca, a stan wielu zły. Lecz obecnie już jeśli nie droga asfaltowa, to przynajmniej bita prowadzi do siedziby każdej gromadzkiej rady narodowej.

Ludzi, którzy tu żyją i pracują, można nazwać pionierami. Są to pionierzy cisi, żyjący bez rozgłosu, jaki nadaje nasza publicystyka tym, co budują Azoty, pracują w tarnobrzeskiej siarce lub Turoszowie, czy też osiedlają się w Bieszczadach. Prawda też, że Hrubieszowiacy pracują ciężko, ale nie za darmo. Wiceprzewodniczący Prez. PRN, inżynier Tadeusz Piwiński, opowiadał mi o synu rolnika z Uchań, inżynierze Laskowskim. Zaraz po studiach podjął pracę w Wydziale Rolnictwa Prez. PRN. Po 20 dniach rzucił ją, wrócił do rodzinnej wsi, objął 7-hektarowe gospodarstwo ojca i zaczął w nim rządzić się po swojemu.

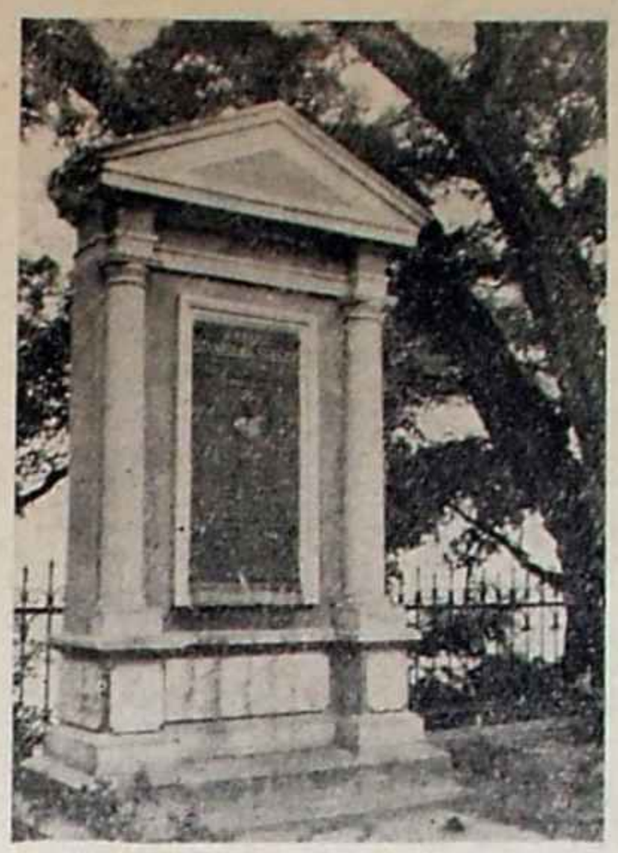

W Hrubieszowie można dostać widokówki przedstawiające miejscowe zabytki i osobliwości. Wydały je PTTK i „Ruch”. Oto kartka z pomnikiem Stanisława Staszica.

(Foto B. Malmurowicz)

Dziś, po 4 latach, inż. Laskowski należy do najlepszych rolników w powiecie; zakupił sobie nie tylko potrzebne maszyny rolnicze, ale i samochód osobowy.

Chłopi przychodzą do powiatu, stukają palcami w książeczki czekowe i domagają się cegły, pustaków, eternitu, kostek betonowych do wybrukowania podwórza. Rzecz jasna, nie wszystkim powodzi się jednakowo, w sumie jednak jest to wieś zamożna. I z pewnością, w miarę rozwoju, będzie coraz zamożniejsza. Jest to wieś o niskim, niestety, poziomie kultury, wiedzy rolniczej, higieny. Lecz to się zmienia stale na lepsze. Mają pieniądze, więc kształcą dzieci. Jak nie w Hrubieszowie, to w Zamościu, Chełmie, Lublinie, Warszawie, Szczecinie, gdzie się da. Na zmianę sposobu myślenia dorosłej społeczności wiejskiej wpływają zapewne radio i telewizja, które dostępne są prawie dla wszystkich, bo w tym roku zelektryfikowane zostaną już wszystkie wsie, dosłownie sto procent, przy czym prąd otrzyma 94 procent gospodarstw. A prąd to dla nich także siła napędowa do maszyn, można by powiedzieć dodatkowe ręce do pracy.

Temat raczej dla publicysty rolnego niż dla reportera, stąd powierzchowność i pewne uproszczenia. Lecz sens istnienia Hrubieszowa jako miasta zamyka się w roli ośrodka administracyjnego powiatu i ośrodka usługowego dla wsi. I to wsi bardzo charakterystycznej. Wykrojenie Hrubieszowa z tego tła dałoby obraz niepełny.

— Właściwie to nie wiem, czy nie mamy na głowie więcej problemów dotyczących rolnictwa, niż niejedna rada gromadzka — zastanawia się przewodniczący Prez. MRN, Stanisław Nowakowski, gdy go pytam, czym jest aktualnie najbardziej zajęty. Jednak nie brakuje mu i kłopotów czysto miejskiej natury. 300 rodzin ubiega się w MRN o mieszkania, a tymczasem miasto oddało do użytku w roku bieżącym budynek o 45 mieszkaniach, wykończy jeszcze jeden dla 27 rodzin, zaś w roku przyszłym — też na 45 rodzin, co zresztą nie jest pewne. Brak na ten cel pieniędzy, brak materiałów budowlanych i brak wykonawców. Hrubieszowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolnego, które wznosi zarówno budynki dla MRN jak i dla tutejszej spółdzielni mieszkaniowej, w zasadzie powołane zostało do innych celów. Stąd też i przeciąganie się terminów realizacji tych obiektów. Wielki, czteropiętrowy, spółdzielczy blok mieszkalny, rosnący obecnie w samym centrum miasta, budowany jest przez trzeciego już z kolei wykonawcę, przedsiębiorstwo z Zamościa. Brak mieszkań zmusza władze miejskie do tolerowania w śródmieściu małych, walących się chatynek, podczas gdy większość nowego, wysokiego budownictwa idzie na peryferie, na ulicę Polną. Hrubieszów nie ma wodociągów i kanalizacji (z wyjątkiem małych urządzeń obsługujących nowe domy). Dokumentacje na nie wykonano w roku 1963, dowiercono się też do 3 wysoko wydajnych źródeł, mieszkańcy płacą na ten cel składki od hektara — i czekają na możliwość instalowania sieci. Sporo prywatnych budynków mieszkalnych wymaga natychmiastowego remontu, a nie robi się tego, bo albo gospodarze są starzy i mają dosyć roboty w polu (a dzieci wykształciły się i wyjechały do innych miast), albo też brak materiałów na remont.

— Jak ty się, Stasiu, rządzisz, że tylu rzeczy brakuje? — pyta przewodniczącego Nowakowskiego na jakimś zebraniu Teodor Kraszkiewicz, rolnik z Hrubieszowa.

— A jak ty? My odpowiadamy za niecałe 24 lata, a ty kierujesz swoim gospodarstwem 50 lat i ile masz braków? — odpowiada pytaniem na pytanie przewodniczący. Nowakowski, urodzony i wychowany w Hrubieszowie, od roku 1945 jest radnym miejskim, a od 1948, z małymi przerwami, przewodniczącym. Zna każdego w mieście, prawie z połową Hrubieszowa jest na „ty”.

Hrubieszów nie jest jednak dziurą. Zadziwiająco schludne wrażenie sprawia to miasto. Jest czyste — mimo braku wodociągów i kanalizacji. Asfalt na głównych ulicach, porządnie utrzymane chodniki, sporo zieleni. Nie dostrzega się jakoś tych zabudowań wiejskich w śródmieściu, natomiast jak pochodzić trochę, widać sporo drewnianych ruder, chylących się ku ruinie. Miasto położone jest bardzo malowniczo, na wzniesieniu oblanym ze wszystkich stron wodą, bo rzeka Huczwa przed Hrubieszowem rozdziela się na dwoje i objąwszy go wokół, poniżej znów łączy się w jednym korycie. Odnoga południowa, bliższa śródmieścia, to właściwie cieniutka struga, dość cuchnąca, gdyż zbiera spływy z rynsztoków miejskich. Obecnie prowadzona jest regulacja mająca na celu obfitsze zaopatrzenie w wodę koryta południowego. Będzie można wtedy jeśli nie kąpać się, to przynajmniej spacerować nad Huczwą.

Spacer uliczkami i ulicami Hrubieszowa to duża przyjemność. Masę domów utrzymanych jest w stylu starych dworków szlacheckich, z dwuspadowymi, mansardowo łamanymi dachami i gankami opartymi na kolumnadzie. Kolumny na frontonie to chyba zresztą specjalność miejscowej architektury, i dawnej i nowszej. Kolumny stoją i przed apteką, i przed sklepem z wódką, i przed starą plebanią, w której 20 sierpnia 1847 roku urodził się Bolesław Prus (co upamiętnione jest tablicą z napisem i płaskorzeźbą) przed pałacykiem pani du Chateau, przed budynkiem KP PZPR i przed innymi domami. Pamięć o Prusie jest żywa. Hrubieszowianie mają spory sentyment do historii. To w ich powiecie znajdują się historyczne miejscowości Horodło, Dubienka i Uchańka. Ta ostatnia była pierwszym polskim skrawkiem wyzwolonym przez I Armię Wojska Polskiego w lipcu 1944. Uchańka leży na wysokim wzniesieniu nad Bugiem, każdej wiosny i jesieni, a czasem i podczas letnich ulew, gdy Bug wylewa, odcinana jest od świata na kilka tygodni. Egzotyczne to, ale i kłopotliwe, i szkodliwe. W Hrubieszowie pierwszy lepszy licealista opowie, że to Jagiełło nadał grodowi nad Huczwą prawa magdeburskie, że w XVI wieku była tu stolica diecezji, poda datę budowy kościoła podominikańskiego (pocz. XVIII wieku) i starej cerkwi (koniec XVIII w.) przebudowanej z kościoła unickiego. A już szczególnie mocna jest pamięć o Staszicu. Jego imię nosi plac, jego imię ulica, a przy ulicy Dzierżyńskiego (dawniej 3 Maja, dawniej Pańska, dawniej...) mieści się szkoła im. Staszica mająca na murze płaskorzeźbę popiersia Staszica, w kościele jest rzeźba popiersia Staszica, przy końcu ulicy zaś pomnik z płaskorzeźbą głowy Staszica.

W dzień Hrubieszów jest ruchliwy. W powiecie odczuwa się brak placówek handlowych i usługowych, więc ludność przyjeżdża załatwiać swoje sprawy do miasta. (Może stąd co krok zakład fryzjerski?) W sklepach na Kozackim Rogu, na Rynku i w pasażu na ul. Sytki rojno. Wieczorem miasto jest ciche, spokojne, wcześnie kładzie się spać. Zresztą cóż robić wieczorem? Kawiarnia „Regionalna” przepełniona i trudno o stolik. Klub w Domu Nauczyciela oferuje odczyty, pogadanki, dyskusje, a także szachy i czwartego do brydża w osobie pana Szczepana Gębicza, emerytowanego nauczyciela, zwanego „Dziadkiem”, jednego z najpopularniejszych ludzi w powiecie. Klub jest jednak malutki i ciężko o miejsce. W mieście są cztery kluby „Ruchu”, z których działają właściwie tylko dwa, a jak powiedział mi Stanisław Lubawski, kierownik ekspozytury powiatowej „Ruchu”, instytucja jego nie przewiduje zakładania nowych klubów, a to z uwagi na brak lokali. Rozmawiałem z przedstawicielami miejscowej inteligencji, lekarzami, prawnikami, nauczycielami. Wieczory spędzają w domu, z rodziną, przy telewizji, czasem się kogoś zaprosi na lampkę wina, czasem pójdzie samemu do znajomych. Teatr i estrada zaglądają tu rzadko, bo i gdzie występować? Jedyna sala widowiskowa znajduje się w kinie; wynajmując ją trzeba płacić za seans. Od lat Hrubieszów dopomina się o Powiatowy Dom Kultury. W roku 1959 Prez. PRN przyznało na ten cel milion złotych, wybrano nawet typowy projekt, ale inwestycja „nie zmieściła się w planie”. Dwa lata temu Centrala Spółdzielni Rolniczych obiecała dać na ten cel fundusze, lecz znów wynikły jakieś przeszkody. Hrubieszowianie liczą jeszcze na roszarnię konopi, która jest w budowie. Ma ona zatrudnić 800 osób. Na razie nie wiadomo jeszcze, skąd tych ludzi się weźmie do pracy. Roszarnia jest jednak miejscowemu rolnictwu bardzo potrzebna. Czy powstaną przy niej jakieś urządzenia kulturalne? 14 km od miasta, w Werbkowicach, mieści się największa i najnowocześniejsza w Europie cukrownia, w takiejż odległości, w Strzyżowie nad Bugiem, znajduje się mniejsza, choć też duża (teraz zresztą modernizowana) cukrownia. Nic specjalnego, poza produkcją świetnego cukru, w nich się nie dzieje. Czy można zatem liczyć na roszarnię?

Ciszę nocną miasta przerywają jedynie od czasu do czasu protesty pijaków, wyrzucanych z miejscowej restauracji za drzwi. Restauracja nazywa się „Kresowianka”. Hrubieszów to kresy.

Ilekroć błądzę na wiosennym kiermaszu, wracają słowa: „habent sua fata libelli”, jednak również w tamtym, dawniejszym znaczeniu. Przypominają mi się stosy książek zapalane na naszej ziemi. Na jednym z nich, wznieconym przez okupanta późną jesienią 1939 r. w Poznaniu, spłonął też mój książkowy debiut, obrazek historyczny z Gdańska XVII wieku pt. „Dzień nad Motławą”, który powstał jeszcze w szkole półtora roku przed maturą, zaś ukazał się w książkowym wydaniu przed końcem sierpnia 1939 r. Z poznańskiego Placu Wolności, niczym z urny, której nie zakrył szczelnie cień swastyki, wiatr wywiał popioły lwiej części nakładu.

W wandalizmie hitlerowskiej nienawiści do polskiej książki była metoda zbrodnicza, inna zgoła, lecz także nikczemna metoda tkwiła w dochodowych zabiegach szajki geszefciarzy, z których procederem zetknąłem się przypadkiem w przedwojennej Warszawie. W pewnym domu o krzykliwych pretensjach kulturalnych sięgnąłem na chybił trafił do biblioteki i znalazłem podarunek, jaki gospodarzowi ofiarował zamożny przyjaciel. Wygląd i tytuł książki utkwił mi trwale w pamięci. Był to zbiorek kazań ojca Bourdaloue, słynnego swego czasu kaznodziei, głośny tom prozy francuskiego baroku (XVII w.), wydrukowany elegancką czcionką z misternie cyzelowanymi miedziorytami na początku każdego z kazań. Obrotne dłonie czcicieli bożka zysku wyskleiły karty starej książki, a następnie wycięły środek z tekstem pozostawiając marginesy. Powstała w ten sposób skrytka, przykrywana okładką w złoconym półskórku jak wieczkiem. I w takiej oto zabytkowej szkatułce ofiarodawca podał kilkadziesiąt wytwornych papierosów. Gdy oglądałem kaleki, wypatroszony zabytek, papierosów już w nim nie było, szkatułka pachniała wszakże wonnym, dobrym tytoniem. Ileż ksiąg okaleczył podobnie rzutki barbarzyńca? „Habent sua fata libelli”. Ta haniebna historia też do ich losów należy, — zła przeszłość przodków dzisiejszych książek, które uśmiechają się ze stoisk uliczne, nieświadome tych dziejów swego rodu.

Rozpocząłem dykteryjką: wymagania zwartej kompozycji zachęcają, by felieton zakończyć również jakąś literacką facecją. Czasem, gdy stanę przed kiermaszowym stoiskiem, nie mogę powstrzymać uśmiechu. Przypominają mi się kłopoty poznańskiego światka literackiego sprzed kilkunastu lat. Mieszkałem wtedy w grodzie Przemysła; świeżo upieczony członek Związku Literatów oczekiwałem na publikację pierwszej powojennej książki, zbiorku opowiadań w PIWie. Właśnie po skromniejszych próbach lat poprzednich miał się odbyć kiermasz książki na większą skalę. Literaci miejscowi będą sami obsługiwać kioski, będą wpisywać dedykacje na swych książkach. Tak głosiły instrukcje oraz organizatorzy, a zwłaszcza młoda i niezwykle energiczna ich przedstawicielka.

Wytworzyła się kłopotliwa sytuacja: cóż począć, jeśli właśnie literaci miejscowi, gronko w dużym stopniu młode, dopiero startujące i atakujące bastiony wydawnictw, nie mają akurat bieżących pozycji w sprzedaży? Zadzierżysta organizatorka nie chciała jednak słyszeć o opuszczeniu tego punktu instrukcji.

— Nic nie szkodzi — ratowała pośpiesznie tok przygotowań. — Skoro nie macie własnych, będziecie podpisywać na innych książkach.

Łatwo mówić. Od biedy Tadeusz Kraszewski mógłby na Józefie Ignacym, zostałoby w rodzinie, ale inni... śmieszna sprawa. Nie uchodzi, stanowczo nie uchodzi — tłumaczyłem jako przedstawiciel oddziału ZLP w kiermaszowym komitecie.

Młoda osoba była jednak nieubłagana.

— Na pewno uchodzi. W Warszawie tak robią.

— Niemożliwe! — sprzeciwiłem się.

— A właśnie, że tak — dobiła mnie propagandzistka wobec wszystkich spłoszonych moim uporem. — Sama widziałem jak podczas warszawskiego kiermaszu Jastrun podpisywał na Mickiewiczu!

Dziś w kioskach inaczej, inaczej. Dom Książki nie ma tak sztywnych instrukcji, a literaci poznańscy doczekali się szeregu wydawnictw które mogą dedykować z czystym sumieniem. Podobnie jest zresztą we wszystkich terenowych środowiskach pisarskich.

I oto mamy pretekst, by garść refleksji z racji Dni Oświaty, Książki i Prasy zakończyć także propagandowym akcentem. Czytajcie, kto jeszcze nie zna „Mickiewicza”. I dlatego, że rok bieżący przyniesie 170 rocznicę urodzin poety, a także dlatego, że jak powiedział Ernest Dimnet w swej ciekawej choć zapomnianej dziś „Sztuce myślenia”, nie należy czytać dobrych książek. Życie jest na to za krótkie. Trzeba czytywać tylko książki najlepsze, a wielokrotnie wznawiany „Mickiewicz” na pewno do tych ostatnich należy.

Kamena str. 7

Musi być dostępny dla wszystkich

Z WIELKIM zainteresowaniem przeczytałem w świątecznym numerze „Kameny" relację pióra Ireneusza J. Kamińskiego ze spotkania poświęconego sytuacji scen wojewódzkich Polski wschodniej, a więc Kielc, Rzeszowa, Lublina i Białegostoku. Nie jestem krytykiem teatralnym ani literackim, dlatego też na zagadnienie teatru „prowincjonalnego" spojrzę od strony widza.

Pytamy o model teatru dramatycznego w wojewódzkim mieście, teatru, który — jak czytamy w relacji z dyskusji w Kielcach — poza nielicznymi wyjątkami, jest jedyną sceną tego typu w regionie. Skoro to j e d y n a scena w regionie, to chyba musi być pod względem repertuaru, który przede wszystkim decyduje o modelu tej sceny, uniwersalna — uniwersalna dla odbiorcy, dla konsumenta.

Od września ubiegłego roku do obecnej chwili zorganizowałem pięć wyjazdów do Kielc na spektakle Teatru im. Stefana Żeromskiego. Uczestnikami wycieczek były dzieci od 5 do 8 klasy, nauczyciele i ludzie, którzy słowa o teatrze nigdy nie słyszeli. W takim zespole jechaliśmy oglądać „Pana Jowialskiego", „Zagładę eskadry", „Niemców" czy „Królewskie łowy". Gdybym jako organizator wycieczki postawił sobie za cel zawieźć do Kielc znawców sztuki teatralnej i tylko ich samych, żadna z wycieczek nie doszłaby do skutku. Zawiozłem różny „element" i nikt nigdy nie miał pretensji: jeden, że czegoś nie rozumiał, drugi, że nie mógł podziwiać gwiazd sceny, bo do tytułów, które wymieniłem, najbardziej wybredny widz nie mógł mieć pretensji. Każdy w każdej sztuce znalazł coś dla siebie: ten podziwiał na swój sposób scenografię, tamten sens „numeru", jeszcze inny próbował oceny tego, co oglądał, z tym, co widział już kiedyś. Gdyby teatr w Kielcach był tylko dla „wybranych", dla znawców, nie miałbym kłopotów z „dopasowaniem" wynajęcia autokaru do dnia, w którym „idzie" sztuka, bo o wycieczkach do teatru nawet bym nie pomyślał (w zespołach 50-osobowych oczywiście). Czy tak sądząc uważam, że teatr powinien być równie przeciętny jak sama widownia?... Od tego jestem daleki. Co zatem chciałbym widzieć na scenie jako przedstawiciel widzów tzw. przeciętnych?... Wszystko prócz szmiry, a to chyba nie wymaga wyjaśnienia.

W ubiegłym roku toczyła się dyskusja na łamach „Magazynu Słowa Ludu" pod hasłem — jeżeli pamiętam — „Co grać?". Szkoda, że w dyskusji tej zabierali głos przede wszystkim znawcy teatru i chyba tylko oni. Życzenia znawców sztuki teatralnej odnośnie repertuaru — moim zdaniem, opartym na pewnym doświadczeniu i obserwacji widzów, którym kupowałem zbiorowe bilety — nie gwarantują powszechności teatru wojewódzkiego. Szkoda, że nie czytaliśmy głosów robotników, nauczycieli szkół podstawowych, a może i średnich, chłopów czy młodzieży wiejskiej.

No tak, ale powie ktoś, że ci ludzie nie mogli pisać o swoich życzeniach, bo w teatrze w ogóle nie bywają. Właśnie — dlaczego nie bywają?

Teatrem trzeba się „zarazić" tak, jak „zaraża" się człowiek filmem, sportem czy dobrą książką. Widzowie z Rakowa w woj. kieleckim, a więc z dalekiej prowincji, byli bardzo zdziwieni, kiedy do niedawna kielecki teatr świecił pustką. Niestety, tak było. Mówili wtedy: myśmy z Rakowa przyjechali, w domu będziemy dopiero po 23, a co robią mieszkańcy Kielc w godzinach od 19 do 21? Szkoda, że dyrektor kieleckiego teatru, pan Grywałd, nie powiedział w dyskusji, dlaczego w Ostrowcu np. robotnicy są wdzięczną dla aktorów widownią: co było przyczyną, że ostrowiecki robotnik poznał drogę do teatru? Może nikt się nad tym nie zastanawiał, chociaż — uważam — warto temu pozytywnemu zjawisku dokładnie się przyglądnąć.

Widza dla teatru trzeba wychować i to zarówno w tym sensie, żeby go nauczyć do teatru chodzić, jak i w tym, żeby umiał on oglądać sztukę. A kto to robi?... Przyznajmy się — nikt! Nikt, prócz niektórych szkół. Są tacy, którzy twierdzą, że telewizja i kino pogrzebały teatr raz na zawsze. Bzdury! Nie sądzę, żeby widzów w terenie przygotowywał sobie sam teatr. Ale co robią w tym kierunku wszelakiego rodzaju i pokroju świetlice, domy kultury, kluby itp.? Nie słyszałem, żeby kierownik np. gromadzkiej świetlicy próbował zorganizować wycieczkę do teatru. Jeżeli byli czy są tacy, to powinniśmy ich prezentować w prasie, żeby byli wzorem dla innych. Skoro teatr p o w s z e c h n y, to nie tylko dla mieszkańców Kielc, Rzeszowa, Lublina czy Białegostoku. Pan St. Bieliński stwierdził na kieleckim spotkaniu, że inteligencja nie interesuje się miejscowym teatrem. Szkoda, a w samej rzeczy, co to za inteligencja, która nie interesuje się miejscowym teatrem? Ja nie wierzę w to, żeby taka „inteligencja" interesowała się teatrem w ogóle. Czyżby na scenie np. w Kielcach nie można rzeczywiście nigdy i nic ciekawego zobaczyć, czy wielkie emocje „to tylko w Warszawie, w Warszawie"?

Kielecka widownia ma ulubionych aktorów, którzy wiele potrafią, i śmiem twierdzić za innymi, że „Przepióreczka" Żeromskiego lepiej im wypadła, niż aktorom z Warszawy. Powie ktoś: nie oglądałeś, szary człowieczku, teatru metropolii, co możesz powiedzieć. Oglądałem jednak w Poznaniu, Warszawie i Krakowie, a pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to to, że w tamtych teatrach krzesła tak nie skrzypią jak na balkonie w Kielcach. A dzisiaj zastanawiam się nad tym, jak długo jeszcze będą skrzypiały, bo — jak oświadczył dyrektor Grywałd — teatr ma dużo pieniędzy, tylko nie na to, co może podnieść jego poziom w ogóle. Po co w takim razie wszelkiego rodzaju dyskusje co grać, jak grać, kim grać i komu grać?

Jednak dyskutujmy. Chociażby i nad tym, czy teatry wschodniej Polski powinny praktykować wymianę. Powiedziałem, że byliśmy od września ubiegłego roku pięć razy w kieleckim teatrze. Gdyby Kielce odwiedziły teatry z Lublina, Rzeszowa i Białegostoku, ale nie na j e d e n wieczór, a najmniej na tydzień, zanotowałbym na swoim koncie... minimum 5 dalszych wyjazdów. Często wypada nam bardzo długo czekać na nowy program, bo najmniej połowa naszej wycieczki to stali bywalcy, reszta ciągle się zmienia, ciągle przybywa nam nowy sympatyk sceny. Jest to jednocześnie pośrednia odpowiedź na pytanie postawione w czasie dyskusji w Kielcach, czy ktoś z dwóch tysięcy robotników „Azotów" zaczął regularnie odwiedzać teatr po obejrzeniu spektaklu w hali fabrycznej w Puławach.

Dyskutujmy również i nad tym, czy obecność krytyków w życiu teatralnym Polski wschodniej jest na tyle widoczna, że stanowi ważny jego element? (Pytanie p. Kamińskiego). Dla nas, stanowiących większość widowni, ale tej mniej wyrobionej, tej, która zaczyna smakować w sztuce teatralnej, opinia krytyków ma znikome znaczenie. Chcielibyśmy raczej wyczytać w prasie dobrą recenzję, nawet znanych już utworów. Sądzę, że warunkiem pełnej oceny sztuki dramatycznej jest jej zrozumienie. Nie wiem, czy dla przygotowania widowni, tej przeciętnej, nie warto wprowadzić przed spektaklem tzw. „słowa wstępnego" o autorze, epoce, w której utwór napisano, losach sztuki od momentu jej powstania itd. Nie będą może z tego zadowoleni ci, którzy znają sztukę teatralną od podszewki, ale idzie nam przecież o to, żeby sztuka teatralna była strawna dla wszystkich, bo chcemy mieć teatr p o w s z e c h n y. Z czasem, jeżeli nie będzie wolnych miejsc na widowni, i ci przeciętni dzisiaj widzowie będą umieli ocenić teatr ze wszystkich stron. Uczymy dziś ludzi, używając wszystkich sposobów i środków, skomplikowanych umiejętności technicznych, poszanowania społecznej własności (często osiągając odwrotny skutek), przekonania o konieczności włączania się do czynów społecznych, a nie uczymy ich umiejętności patrzenia na sztukę i to w najprzeróżniejszej postaci. Sądzimy chyba, że tu wystarczy samokształcenie, wmawiamy w siebie, że konsumenci sztuki mogą być samoukami. Chyba to wielkie nieporozumienie.

Dyskutujmy jednak dalej. Chyba w „Magazynie Słowa Ludu" oglądałem trzy rysunki: o teatrze, aktorze krajanie i widowni rodzimej. Pierwszy rysunek: marsowe miny widowni po spektaklu — głupie samopoczucie aktora. Drugi rysunek: wielkie brawa i duże kwiaty dla aktora (tego samego) od widowni za granicą — wspaniałe samopoczucie aktora. Trzeci rysunek: wielkie brawa dla aktora widowni rodzimej i chyba głupie samopoczucie aktora, bo owacja pochodzi od tych, którzy kiedyś mieli marsowe miny. Tacy to my jesteśmy: trzeba, żeby zagranica potwierdziła talent naszego krajana, wtedy i my go uznamy. I ten problem jest ważny dla teatru, żeby uczyć kochać i cenić w społeczeństwie własny dorobek, chyba bardzo bogaty.

Mimo tego nie przerywajmy dyskusji. Organizuję wycieczkę do teatru w Kielcach. Muszę jechać sam, zapytać w którym dniu uzyskam bilety dla „moich" 50 widzów z terenu, później trzeba się udać do instytucji czy przedsiębiorstwa, które może wynająć autokar. Rzecz w tym, że najczęściej wóz zajęty jest wtedy, kiedy mam możliwość nabycia biletów. Jest wolny autokar, nie ma wolnych miejsc w teatrze. Impreza udaje się jeszcze w okresie zimy, kiedy jest mniej wycieczek i wozy są wolniejsze. Próbowałem kiedyś „handlu" z „Gromadą" w Kielcach. Niestety, tej szanownej instytucji usługowej nie wystarcza zarobek na samym wozie, trzeba płacić dodatkową marżę i tedy rezygnujemy z wycieczki, bo kosztuje nas ona ponad 30 zł na osobę drożej. Do teatru więc nie jedziemy i zdarza się, że wtedy właśnie 50 miejsc na widowni jest wolnych.

O czym mi się śni w takim wypadku jako organizatorowi wycieczek do teatru? Śni mi się duży autokar, który jest własnością teatru i do dyspozycji takich jak my z Rakowa. Chcemy, żeby każdy wyjazd nie kosztował nas drożej niż 50 zł, bo to już dużo, a w żadnym wypadku 80 zł (gdy chcielibyśmy skorzystać np. z usług „Gromady", której w dodatku potrzeba całej masy papierków i zapłaty z góry). A warto organizować wycieczki do teatru dla dzieci ze szkół w terenie, bo idą one później do kieleckich szkół i zasilą liczbę stałych bywalców w teatrze. Tego przecież ich uczyliśmy.

Kończąc, powtarzam z całym przekonaniem za panem Torończykiem — dyrektorem teatru w Lublinie: jedyny teatr w województwie musi być dostępny dla wszystkich.

Mirosław Kowalik

A może jest inaczej?

DYSKUSJA na temat teatrów Polski wschodniej ujawniła wiele kłopotów, z którymi borykają się te placówki kulturalne. Uczestnicy dyskusji byli przy tym zgodni, że teatry te powinny być ogólnie dostępne, tzn. posiadać w repertuarze sztuki różnego kalibru, trudniejsze i łatwe w odbiorze, komedie obok dramatów. Osobiście uważam, że koncepcja taka jest słuszna, chociaż na pewno nie zawsze zaspokaja ambicje aktorów i reżyserów, ale — jak powiedziano w czasie dyskusji — teatr jest placówką usługową i jako taki musi zaspokajać potrzeby szerokich kręgów publiczności. Zapytam jednak, może nieco prowokacyjnie, czy istnieje wyraźna u szerokiej publiczności p o t r z e b a teatru? Czy wobec wyludniania się kin, które ulegają w walce z telewizją, teatr, sztuka specyficzna, o mniejszej skali środków artystycznych, może dziś liczyć na powszechne zainteresowanie, a przynajmniej na takie zainteresowanie, które zdołałoby zapewnić frekwencję w salach teatralnych? Śmiem wątpić. Przede wszystkim dlatego, że życie społeczne wykazuje tendencje do dezintegracji. Właśnie telewizor sprzyja tej dezintegracji. A może jest inaczej: może telewizja rozpoczęła nowy, nieznany etap kultury masowej, polegający na indywidualnym — nie zbiorowym, jak to się dzieje na przykład w teatrze — kontaktowaniu się z wartościami ludzkiej działalności kulturalnej?

Władysław Kucharski

Zatrzymać fluktuację

JEDNYM z głównych zadań wojewódzkiego teatru dramatycznego musi być współudział w kształceniu i wychowywaniu młodzieży szkolnej. Rozumiem to nie tylko jako pokazywanie utworów współczesnych, ale przede wszystkim klasyki krajowej i zagranicznej. Wynika z tego, że np. „Zemstę", „Mazepę" czy „Niemców" należy pokazywać systematycznie co 4 czy 5 lat, w miarę dorastania młodzieży.

Z drugiej strony taka koncepcja z góry skazana jest na finansową klęskę. Koszt wystawienia duży, a liczba spektakli ograniczona, bo ograniczona jest przecież liczba potencjalnych widzów. A więc co? Widzę dwa wyjścia: albo zwiększenie dotacji, albo bardziej ustabilizowany skład zespołów aktorskich. Pierwsza możliwość jest w praktyce trudna do zrealizowania. Ale druga? Fluktuacja aktorów jest we wszystkich teatrach bardzo duża, w ciągu 5 lat zmieniają się prawie wszyscy. Gdyby ta fluktuacja była mała, koszt periodycznego wystawiania tych samych sztuk klasycznych byłby znacznie mniejszy — kostiumy gotowe, dekoracje też, większość ról opanowana. Oczywiście pod warunkiem, że z tych przedstawień reżyser nie chciałby robić mniej lub bardziej wątpliwych eksperymentów, a po prostu rzetelne przedstawienie dla młodych widzów.

Powstaje tylko pytanie, w jaki sposób zatrzymać aktorskie peregrynacje, tak często obrosłe złą tradycją?

St. Burakiewicz

M.B.-R. x 80 = młodość

(Dokończenie ze str. 3)

praktycznym działaniu Marii Bechczyc-Rudnickiej. Deszcz? To przeszkoda dla autorów wierszy rozpływających się nad urokiem pory jesiennej. Trudności komunikacji? To szkopuł dla dwudziestoletniej starości, nie dorosłej do statusu aeternae iuventutis. Kobieta, która nie zamieniła pióra na szydełko i włóczkę, nie może pozwolić uciekać rwącemu potokowi życia poza zasięgiem jej świadomości. O ludziach wyróżniających się pod względem intensywności działania krąży określenie, że są instytucjami. W tym znaczeniu Pani Maria to chyba w ogóle Liga Kobiet.

Co rok — za granicę, co miesiąc — za województwo. Brawo ta ciekawość nowej — czwartej z kolei inscenizacji — po trzykroć znanej sztuki teatralnej przewyższająca naturalną człowiekowi skłonność do pledu i muzyki wrzątku na herbatę. Ale równocześnie spytajmy Zacną Jubilatkę o ostatnią sztukę w telewizji — dyskusja gotowa. Jak zdobyć podobne wszechwidzenie nie będąc Światowidem? Czy nie namaszczenie to od Biskupina w rewanżu za reklamę? „Dziw"-ne.

80 majów, czyli 2 MAJ-e. Cóż to! Matka Berleviego w tym wieku dopiero zaczynała artystyczną karierę. Najmłodszym ze Staffów był Staff osiemdziesięcioletni. „Wpadnijcie za tysiąc lat, pogadamy" — rzekł Majakowski. A w ogóle „kto jest naprawdę młody, to już na całe życie" (Tayllerand). Czyli „sięgajmy wyżyn" (Mikulski).

A Boy — cicho tam, mam na myśli teatrologa i publicystę — z całkiem niewielkim nabożeństwem odnosił się do młodości. Mówił, że młodość natura daje różnym pędziwiatrom, wartogłowom, drapichrustom, wśród których nie uświadczysz sensownej rozwagi i rozważnego sensu. Ale miał na myśli przecież metrykę. Formalista. Czy może nie znał młodości dojrzałej a energicznej, doświadczonej a chętnej i przychylnej wszystkiemu co nowe?

No tak. Ja tu sobie gadu gadu, a przecież życzenia czas zacząć. Tylko oporne słowa wcale nie chcą przybiegnąć wiankiem dzieci z nauczonym wierszykiem, bo powiadają, że Pani Maria ceni poezję. A Czechowicz i Leśmian powinszowanek nie napisali. Więc może bez wierszyka się obejdzie. Może nawet i bez słów. Niech wyjdą te wszystkie „godziny osobliwe", w czasie których znalazło się na kartach to wszystko co nosi stempel „Embeer", co spływało w dyskusjach z szerokiej kultury francuskiej i rosyjskiej, co rozjaśniało się od swobodnego, niepruderyjnego humoru. I niech nowe z grubą nawiązką przekroczą rozmiar poprzednich lat pięćdziesięciu pięciu.

Koledzy, ja już wypiłem —

Zygmunt Mikulski

I to jest teatr powszechny

(Ciąg dalszy ze str. 3)

rasę" (dobrze tak bladym twarzom!). „W międzyczasie" nawiązują się jakieś wątki miłosne i akcja zmierza bitym gościńcem do happy endu. Kropka — to wszystko.

Na przestrzeni kilku obrazów autor sypał dowcipami jak z rogu obfitości. Inwencji mógłby mu pozazdrościć Fiers z Caillavetem czy Croisetem, i Deval, i nawet Hennequin — w ogóle wszyscy mistrzowie lekkiej komedii. René de Obaldia jest dowcipniejszy od nich o materiał dostarczony przez pół wieku dziejów. Rezultat jego miłej, dziecięcej zabawy w Indian — nieprzerwany, szczery, szczęśliwy śmiech na widowni. A to bardzo wiele.

Takie właśnie widowisko warte (dosłownie) śmiechu zrobił z utworu francuskiego pisarza nasz Teatr Osterwy. Autor, który przybył na premierę, był ze spektaklu na ogół zadowolony. Podobno trochę żal mu było tylko paru passusów sentymentalnych, ale tu mi przychodzi na myśl powiedzonko z „Roxy": *Czy warto płakać nad rozlanym mlekiem, było w nim przecie sporo wody?* (mam na myśli owe scenki liryczne). Natomiast, jeśli się nie mylę, podobało się p. de Obaldia, że nasz reżyser (J e r z y W r ó b l e w s k i) trochę „podbrechcił" sztukę songami. Tutaj ośmielę się wszakże mieć odmienne zdanie. Bo lubię czystą farsę. Poza tym zafrapował mnie w lekturze klasyczny dwunastozgłoskowiec, który autor pomysłowo wprowadził do opowiadania Miriam, „wszetecznicy wielkiego serca" (brzmiało to niemal jak skarga Kamili z „Horacjuszów"!), a zgódźmy się, że śpiew, lepszy czy gorszy, aleksandrynowi nie służy.

W sumie jednak zawdzięczamy Jerzemu Wróblewskiemu koncepcję stylowo wyrównaną, obfitującą w świeże reżyserskie pomysły. Podkreślam: reżyserskie, bo — rzecz frapująca! — „Wiatr w gałęziach sassafrasu", mając precyzyjnie opracowaną warstwę słowną (m. in. kapitalna mowa „indiańska"), pozostawia reżyserowi duże pole do popisu w zakresie sytuacji. Zresztą na odrobinę dodatkowej swobody mógłby sobie pozwolić Wróblewski i w dialogach: warto było skreślić ze sceny pierwszej wynurzenia Pameli o zapędach seksualnych braciszka, który to wątek nie jest sławetnym czechowowskim gwoździem, gdyż z miejsca się likwiduje. Owe niedyskrecje Pameli są jedynie haczykiem, na który autor łowi nowoczesnego widza. Przez moment można było się spodziewać, iż od słów dojdzie do „działań fizycznych" à la Pinter, lecz nic z tego: Tom na długo znika ze sceny, wraca zaś w finale cudownie odmieniony.

Spośród ekipy aktorskiej, która bawi i bawi się w „... gałęziach sassafrasu", szczególnie zachwycił mnie tym razem P i o t r S o w i ń s k i — wódz Apaczów, Oko Kuropatwy, onże wódz Komanczów, Oko Rysia. Nawiasem mówiąc, faktury pisarskiej „indiańskich" scen nie powstydziłby się sam Molier, twórca tureckiej ceremonii w „Mieszczaninie szlachcicem". Sowiński podbił publiczność słowem, gestem, zaprawą gimnastyczną.

Bardzo dobra jest S i d o n i a B ł a s i ń s k a w roli Karoliny. Siłą talentu i dużego wyrobienia warsztatowego młoda aktorka kazała uwierzyć w 50 lat pani Rockefellerowej, niewiasty statecznej, przezacnej, pogodnie wojowniczej. W ł o d z i m i e r z W i s z n i e w s k i, jako John Emery Rockefeller, prawie nie schodzi ze sceny — zaiste zadanie ciężkie przy ponaddźwiękowym tempie akcji. Jest nader aktywny, zgodnie ze wskazaniami — nieposkromiony. Może chwilami za głośny, co zagłusza dowcipy słowne. Miriam, dziewczynę ultralekkich obyczajów, a zarazem niezawodną rączkę w strzelaniu do agresora, grają na zmianę: H a l i n a K a z i m i e r o w s k a i B a r b a r a W r o n o w s k a, obydwie panie — interesująco, Wronowska może trochę za poważnie.

Postać zwana Tomem ma niewiele do powiedzenia zarówno na początku sztuki, jak na końcu. P i o t r B r z e z i ń s k i zrobił z niej co się daje zrobić. Przeciwnie sądzę, że B a r b a r a P o h o r e c k a nie wykorzystała wszystkich atutów roli Pameli, piękności „wyzywającej", jak twierdzi autor. William Butler (J a n B ó g d o ł), ten zapijaczony ciamajda, lekarz — truciciel (eksperymentator), którego hobby jest uszczęśliwianie ludzkości, też był jakby zgaszony. I wreszcie Carlos (L e o p o l d M a t u s z c z a k), szeryf, bohater niczym „z filmu Forda", chyba zgodnie z założeniem autora był zdawkowo pozytywny.

Scenograf, J a d w i g a P o ż a k o w s k a, musiała dopilnować m. in. satyrycznej wymowy mnóstwa rekwizytów, całość jej dzieła scenograficznego daje dobre świadectwo inwencji artystki.

Świetny przekład K a z i m i e r z a P i o t r o w s k i e g o przyczynił się wydatnie do powodzenia spektaklu.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Listy do KAMENY

„MILIARDY DLA STUDENTÓW"

Powszechny jest artykuł Jerzego Dostatniego „Miliardy dla studentów". Przy pomocy konkretnych danych, liczb i faktów, udowadnia, jak wiele środków przeznacza państwo na rozwój szkolnictwa wyższego, na stworzenie studentom optymalnych warunków bytowo-dydaktycznych. Czy zawsze ta troska państwa jest dostrzegana i odpowiednio oceniana przez najbardziej zainteresowanych w jej ciągłości, tzn. przez studentów? Dziś wiemy, że byłoby z tym różnie, że pewne grupy młodzieży zdają się nie widzieć tego ogromnego dobra, które dała im do dyspozycji Polska Ludowa. Tym więc młodym ludziom, którzy mają pretensję (o co?), chciałbym przypomnieć, że kilkanaście lat temu ja i moi rówieśnicy studiowaliśmy w warunkach o stokroć gorszych, w nielicznych domach akademickich gnieździliśmy się po 15—20 osób w pokoju, nie było podręczników, a produkowane chałupniczym sposobem skrypty osiągały niezwykle wysokie sumy. Nie narzekaliśmy jednak, wiedzieliśmy bowiem, że wówczas Polska nie mogła nam zapewnić lepszych warunków, wiedzieliśmy, że to my właśnie — przyszli inżynierowie, lekarze, nauczyciele — mamy budować kraj silny i bogaty. Artykuł, który zobrazował materialną bazę wyższych uczelni, zwrócił przy tym uwagę, aczkolwiek pośrednio, na fakt zbyt nikłej świadomości historycznej u dzisiejszych studentów, a tym samym na konieczność uzmożnienia na uczelniach pracy ideowo-wychowawczej.

Rafał Podgórecki
LUBLIN

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Białostoccy plastycy: Jerzy Lengiewicz, Stefan Rybi i Mikołaj Wołkowycki zorganizowali w bramie wejściowej pałacu Branickich galerię sztuki „Brama". Będą tutaj prezentowane najciekawsze prace plastyków białostockich i plastyków z innych części kraju.

● Przy ul. Podleśnej w Białymstoku powstanie kompleks budynków szkoły muzycznej. W pierwszym etapie wzniesione zostaną gmachy zajęć lekcyjnych — koszt ich wyniesie 11 mln złotych, następnie sala koncertowa na 500 miejsc oraz internat. Wszystkie prace budowlane mają być zakończone w 1973 r.

● W Olsztynie odbyło się wspólne posiedzenie Mazowieckiego Towarzystwa Kultury, Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze" oraz Białostockiego Towarzystwa Kultury. Postanowiono zacieśnić więzy współpracy pomiędzy sąsiadującymi województwami. Nastąpi wymiana zespołów artystycznych, wystaw itp. Co roku w którymś z województw będą organizowane wspólne plenery plastyczne.

● Na Białostoczczyźnie daje się zauważyć duże nasilenie związkowego amatorskiego ruchu artystycznego. Istnieje 195 zespołów artystycznych działających przy związkach zawodowych, a wśród nich — 12 zespołów dramatycznych, 2 lalkowe, 24 recytatorskie, 65 instrumentalnych, 16 wokalnych, 8 tanecznych, 24 estradowe, 22 plastyczne.

● Dyrektor Białostockiej Orkiestry Symfonicznej, Jan Kulaszewicz, wyjechał do Zielonej Góry, gdzie przygotował z Zielonogórską Orkiestrą Symfoniczną koncert, na którego program składają się utwory T. Bairda, W. A. Mozarta, Fr. Schuberta i G. Rossiniego. W ubiegłym roku bawił w Białymstoku dyrektor POS z Zielonej Góry — Zygmunt Hass.

KIELCE

● Tegoroczne wojewódzkie obchody Dni Oświaty, Książki i Prasy zorganizowano w Staszowie. Miasto to wyróżnia się ciekawie prowadzoną pracą w placówkach kulturalno-oświatowych. Wkrótce Staszów przystąpi do budowy nowoczesnego Powiatowego Domu Kultury.

● Podczas posiedzenia Miejskiego i Powiatowego Komitetu SD w Kielcach sekretarz WK SD Leon Jezierski udekorował odznakami „Za zasługi dla Kielecczyzny" aktywistów SD — Brunona Delewskiego, Józefa Wróblewskiego, Kazimierza Moulisa i Henryka Gostomskiego.

● Od dwóch lat trwają kontakty pomiędzy Kielcami i Opolem. Oba miasta wymieniają doświadczenia z zakresu gospodarki, życia kulturalnego i społecznego. M.in. Kielce chcą skorzystać z dokumentacji nowoczesnego teatru, który obecnie budowany jest w Opolu. Ostatnio w Kielcach przebywała delegacja MRN w Opolu na czele z przewodniczącym Prezydium MRN Henrykiem Taborem.

● Muzeum Techniki w Sielpi, mieszczące się w dawnym zakładzie metalurgicznym wybudowanym z inicjatywy Stanisława Staszica, posiada liczne rzadkie maszyny z ubiegłego stulecia. Jest tam m.in. tokarka łańcuchowa z 1823 r., wielki 150-letni młot parowy, a w jednej z hal zamontowano olbrzymie koło wodne wyprodukowane 130 lat temu w Starachowicach.

● W Wojewódzkim Domu Kultury otwarto wystawę fotografii reportażowej pt. „Młodzież afrykańska w Polsce". Wystawą została zorganizowana w związku z Dniami Wolnej Afryki.

● Po otwarciu galerii malarstwa w Muzeum Świętokrzyskim będą tam m. in. prowadzone zajęcia dla młodzieży szkolnej — w oparciu o eksponowane prace. Odbywać się one będą w ramach Studium Estetycznego.

LUBLIN

● Do Lublina powrócił Teatr Akademicki UMCS „Gong-2", który uczestniczył w Światowym Festiwalu Teatrów Uniwersyteckich w Parmie. W Festiwalu brało udział 17 zespołów z różnych krajów. Spektakl lubelskiego teatru — „Elżbieta Bam" Daniela Charmsa" w reżyserii Andrzeja Rozhina — został wysoko oceniony przez krytykę i prasę włoską. Nagród na Festiwalu nie przyznawano. Kierownictwo „Gongu-2" zostało przyjęte przez I sekretarza KW PZPR Władysława Kozdrę, który pogratulował zespołowi.

● W Sopocie otwarto wystawę prac lubelskich plastyków pt. „Plastyka lubelska w Sopocie". Bierze w niej udział 16 członków Lubelskiego Oddziału ZPAP. Wstęp do katalogu — pióra prezesa Zarządu Okręgu, Edwarda Nadulskiego.

● Podczas tegorocznych majowych Kaliskich Spotkań Teatralnych Teatr im. J. Osterwy przedstawił „Matkę Courage" B. Brechta w reżyserii Kazimierza Brauna oraz „Wiatr w gałęziach sassafrasu" R. de Obaldii, w reżyserii Jerzego Wróblewskiego.

● Od pewnego czasu lubelskie BWA prowadzi cykl „Piątków młodzieżowych", podczas których młodzież szkolna zapoznaje się z zagadnieniami sztuki. Ostatnio w salach BWA odbył się wojewódzki turniej wiedzy o sztuce. Do finału zakwalifikowało się 10 uczniów, a zwycięzca, Waldemar Odorowski otrzymał specjalny dyplom — „Purpurową Paletę". Będzie on reprezentował Lublin w finale ogólnopolskim w Warszawie.

● W Warszawie rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs o tytuł „Mistrza Gospodarności". Do konkursu przystąpiło w ub.r. 360 miasteczek. Wyłoniono spośród nich 17 laureatów. Na jedenastym miejscu uplasował się reprezentant Lubelszczyzny — Stoczek Łukowski. Otrzymał on nagrodę w wysokości 200 tys. zł.

RZESZÓW

● Przejawem patriotycznej postawy młodzieży województwa rzeszowskiego jest m. in. wzrost organizacyjny tutejszego ZMS oraz masowe wstępowanie członków ZMS w szeregi PZPR. Do końca kwietnia koła ZMS na Rzeszowszczyźnie zarekomendowały na kandydatów partii ponad 600 swych członków.

● Na czele Wojewódzkiego Komitetu Organizacyjnego Dni Oświaty, Książki i Prasy stanął wiceprzewodniczący PWRN Mieczysław Kaczor. Podczas tegorocznych „Dni" szczególną uwagę zwraca się na młodzież, na jej patriotyczne wychowanie. Szeroko propagowana jest literatura społeczno-polityczna.

● Od 12 do 18 maja trwają w Stalowej Woli I Ogólnopolskie Spotkania Teatralne „Teatry robotnicze — ludziom pracy". Organizatorem imprezy są związki zawodowe. Wśród licznych teatrów z całej Polski występują: Teatr Słowa ZDK WSK z Rzeszowa, Kabaret „Yeti" z klubu „Merkury" w Kielcach oraz teatrzyk „Mikstura" z Lublina.

● Z okazji „Dni Rzeszowa" tutejszy Okręg ZPAP organizuje kolejną wystawę okręgową. Spośród 74 zgłoszonych prac zakwalifikowano na wystawę 57. Znajdują się wśród nich 23 obrazy olejne, 25 grafik i 5 rzeźb.

● Lekarz z Łańcuta, Władysław Balicki, jest zapalonym bibliofilem i kolekcjonerem pamiątek. Jego księgozbiór liczy 12 tys. woluminów, wśród nich wiele „białych kruków". W domu W. Balickiego mieści się również część zbiorów regionalnego muzeum etnograficznego. Ciekawostką jest oryginalny pergamin z podpisem „Diabła łańcuckiego" — Stanisława Stadnickiego.

15 lat tańca

STUDENCKI Zespół Tańca Ludowego UMCS obchodzi wkrótce jubileusz piętnastolecia istnienia. Równocześnie 15-lecie działalności w tym zespole obchodzi jego kierownik i założyciel, mgr Stanisław Leszczyński, postać od lat wielce popularna nie tylko w środowisku studenckim, ale w całym kulturalnym światku lubelskim. Nieczęsto się zdarza taka wieloletnia i owocna symbioza kierownika z zespołem i rzadko który amatorski zespół artystyczny wykazać się może stałym rozwojem, bez upadków i wahnięć. Studentom z UMCS to się udało. Zespół Tańca Ludowego ma na swoim koncie tysiące występów w polskich miasteczkach i wsiach, liczne wyjazdy i nagrody zagraniczne, dwu- i półmiesięczne tournée po Francji i Szwajcarii. Przez zespół w okresie jego istnienia przewinęło się około tysiąca osób.

W związku ze zbliżającym się jubileuszem przeprowadziliśmy rozmowę z mgr Leszczyńskim.

— O ile mi wiadomo pańskie zainteresowanie amatorskim ruchem artystycznym objawiło się na uczelni, z którą nie był pan bezpośrednio związany?

— Tak. W 1952—53 roku prowadziłem zespół taneczny przy Akademii Medycznej, chociaż etatowo byłem zatrudniony na UMCS w Studium Wychowania Fizycznego. Zespół Akademii Medycznej zdobył wkrótce jedną z pierwszych nagród na ogólnopolskim festiwalu folklorystycznym zespołów studenckich i być może to było jednym z powodów, dla których ówczesny rektor UMCS zaproponował mi utworzenie podobnego zespołu na moim macierzystym uniwersytecie. Wkrótce doszło do utworzenia takiego zespołu i wtedy „wsiąkłem". Poświęciłem się całkowicie tej pracy. I ciągnie się to już bez przerwy piętnaście lat.

— Oczywiście nie obejdzie się tutaj bez klasycznego stwierdzenia, że początki były trudne?

— Tak. Nie posiadaliśmy odpowiedniego zaplecza — zresztą nie posiadamy go do dzisiaj, brak było kostiumów, a wśród członków zespołu nierzadko także wiary, że „coś z tego wszystkiego wyjdzie". Dlatego tym większą satysfakcję sprawia mi fakt, że wielu spośród moich pierwszych tanecznych wychowanków prowadzi amatorskie zespoły taneczne w różnych miejscowościach, do których trafili w poszukiwaniu pracy zawodowej. Utrzymujemy z nimi serdeczne kontakty i mam nadzieję, że wkrótce, podczas jubileuszowych spotkań, zobaczymy się wszyscy znowu. Na przykład w Sokołowie Małopolskim na Rzeszowszczyźnie pracuje zespół taneczny pod kierownictwem profesora miejscowego gimnazjum, mgr matematyki Karola Rysza. Już zaledwie po rocznej pracy zespół ten zdołał zająć trzecie miejsce na wojewódzkich eliminacjach. W Hajnówce na Białostoczczyźnie kieruje zespołem tanecznym mgr polonistyki Janusz Kopcial, a na Lubelszczyźnie, w Białej Podlaskiej — mgr prawa Marek Kuźmiński. W Chełmie w podobny sposób udziela się społecznie absolwent fizyki, a w Świdniku — mikrobiolog. Wspominam tylko niektórych.

— Tak więc można powiedzieć, że już nawet poza stałym lubelskim zespołem włączacie się w nurt współpracy kulturalnej czterech województw?

— Z pewnością. Choć nie jest to akcja zorganizowana. Chciałoby się powiedzieć, że teraz, po kilku latach, pieniądze zainwestowane w nasz zespół przez te województwa — zaczynają „procentować".

Szczególnym orędownikiem naszej sprawy był przewodniczący PWRN w Lublinie, mgr Paweł Dąbek, który ufundował nam stroje lubelskie — krzczonowskie. Stroje łowickie są darem Wydziału Kultury PWRN w Lublinie. Bardzo wiele zdziałał dla Zespołu zmarły niedawno przewodniczący PWRN w Kielcach Bak-Dzierżyński. To dzięki jego staraniom otrzymaliśmy stroje świętokrzyskie i mogliśmy włączyć do repertuaru wiązankę tańców kieleckich. Zrozumiałą jest rzeczą, że największą pomocą służyły nam zawsze władze UMCS, w szczególności zaś rektorzy: prof. dr Grzegorz Leopold Seidler i doc. dr Wiesław Skrzydło, a także dyrektor administracyjny uczelni — mgr Stanisław Bienia. To właśnie uczelnia zafundowała nam stroje rzeszowskie, kurpiowskie i kaszubskie. W ten sposób, dorobiliśmy się dość zasobnej kostiumerni, a piękne stroje bez wątpienia przyczyniły się do sukcesów. Po naszym występie w Cannes w 1967 r. krytyk francuskiego pisma „Nice-Matin" pisał m. in. „Gdybyśmy chcieli jednym słowem ująć nasze wrażenie ze spektaklu, który odbył się wczoraj w Pałacu Festiwalowym w Cannes, to trzeba by użyć słowa świeżość młodości pięknego zespołu polskiego. (...) To są tacy sami entuzjaści i zapaleńcy jak ci, którzy bezpośrednio po straszliwych zniszczeniach wojennych odbudowali z kupy gruzów stolicę Polski, upodabniając ją do dawnej i jeszcze piękniej, nowocześniej rozbudowując. A więc jest to kult dla przeszłości w połączeniu z nowoczesnością. Znalazło to swój wyraz w uroku kostiumów regionalnych stanowiących piękny relikt przeszłości. Były to kostiumy o barwnych wzorach ludowych, często ręcznie haftowanych złotem".

— Występ w Cannes odbywał się w ramach ubiegłorocznego tournée artystycznego po Francji?

— Ściślej: po Francji i Szwajcarii. W ciągu dwóch i pół miesięcy daliśmy 67 koncertów, z czego 23 w music-hallu „Bobino" w Paryżu. Był to już zresztą drugi nasz wyjazd do Francji. W 1966 r. na Światowym Festiwalu Folklorystycznym w Dijon zespół zdobył Brązową Kolię. Poza tym występowaliśmy w Bułgarii, dwukrotnie na Węgrzech i dwukrotnie w Związku Radzieckim.

— Zanim doszło do wyjazdów zagranicznych zespół miał już przecież szereg sukcesów w kraju?

— Tak. W 1957 r. odniósł sukces na eliminacjach zespołów studenckich w Częstochowie, w 1958 r. — na I Festiwalu Kulturalnym Studentów w Krakowie, w 1964 r. — na eliminacjach w Olsztynie i wreszcie w 1966 r. zajęliśmy pierwsze miejsce w swojej kategorii na III Festiwalu Kulturalnym Studentów w Warszawie.

— A jak przedstawiają się widoki na najbliższą przyszłość?

— Przygotowujemy się obecnie do obchodów jubileuszu XV-lecia istnienia zespołu. Złożą się na nie zjazd byłych członków zespołu, jubileuszowy koncert, na który zostaną zaproszeni m.in. przedstawiciele zakładów pracy, z jakimi zespół od lat współpracuje, a także delegacje z powiatów i wsi, z którymi utrzymujemy ścisłe kontakty. Mamy również zamiar zorganizować ogólnopolskie seminarium dotyczące tańca folklorystycznego. Zostaliby na nie zaproszeni kierownicy zespołów studenckich z całej Polski oraz wszyscy kierownicy zespołów folklorystycznych działających na Lubelszczyźnie. Zostanie otwarta wystawa dorobku zespołu, na którą złożą się pamiątkowe plakaty, zdjęcia, wycinki z prasy. Fabryka porcelany w Ćmielowie wykona okolicznościowy talerz dla osób najbardziej zasłużonych dla zespołu.

Jeśli zaś chodzi o naszą pracę codzienną, to 120-osobowy obecnie zespół, posiadający poza grupą taneczną także własną kapelę oraz sekcję wokalną, pracuje nad suitą tańców śląskich. Ponieważ mamy widoki na otrzymanie staropolskich kontuszów, przystąpimy wkrótce do opracowywania mazura. W przyszłości chcielibyśmy ująć w naszym programie także tańce Warmii i Mazur.

Chciałbym tutaj podkreślić, że członkowie zespołu to na ogół wzorowi, przodujący w nauce studenci. Umiłowanie folkloru sprawiło, że cały swój wolny czas poświęcają próbom odbywającym się kilka razy w tygodniu. Wkrótce wielu z nich opuści mury naszej uczelni, a zarazem rozstanie się z zespołem, w którym spędzili kilka lat.

Jestem przekonany, że wielu z nich poświęci się w nowym miejscu zamieszkania pracy z zespołami amatorskimi. I dlatego zawsze w mojej pracy odczuwam zadowolenie, że także dzięki tym ludziom, dzięki moim wychowankom, nasz folklor ma szanse przetrwania w czystej i oryginalnej formie, że będzie przekazywany przyszłym pokoleniom.

Rozmawiał: **Mirosław Derecki**

Kuszenie eksperymentem

(Dokończenie ze str 6)

rządkowany i nieprzewidziany. Często są to relacje o jednym czy dwu dniach — na płaszczyźnie aktualnej — życia bohatera-narratora (kilkusetstronicowy „Ulisses" dzieje się w ciągu... doby), czasem o jednej... godzinie. Przy tym opowieść obejmuje nie tylko fakty zewnętrzne, dotyczy w wielkim stopniu także aktualnych, najintymniejszych doznań psychicznych i fizjologicznych mówiącego, a czasem relacja odnosi się do samej... siebie — narrator „ustosunkowuje się" do tego, co przed sekundą powiedział: *Więc idą oni ze swoją beztroską i idę ja naprzeciw z siedmioma pieczęciami. Nie bardzo wiem, co mi się tu wypowiedziało z tymi siedmioma pieczęciami. Staram się nie dać nigdy słowom prześcigać myślenia, a tu dosyć bezwiednie to wyrzekłem. Tak, jakby mi to wypluśnęło z ust jak pestka. Nie wiem.* Przykład jeszcze drastyczniejszy: *Na razie jednak ciągle nie widziałem nikogo na tej wąskiej uli-, ale nie kończę słowa, bo oto przede mną pierwsza postać człowiecza wyszła z bramy.*

Często w ogóle nie wiadomo, co tu się wydarzyło rzeczywiście, co zostało przypomniane, a co jest tylko projekcją wyobraźni. Mieszają się teraźniejszość z przeszłością. Wszystko właściwie dzieje się w narratora „duszy teatrze", przepływa bezwładnym i niekontrolowanym „strumieniem świadomości", i wszystko w tym monologu wewnętrznym staje się czasem — psychicznie! — teraźniejszym!

Nie ma mowy o fabule, o logice następstwa zdarzeń, o zamkniętych układach wypadków. Narrator przestaje panować nad rzeczywistością, nie porządkuje jej chronologicznie, nie odnajduje przyczynowo-skutkowego ładu, jednoznacznego sensu świata. Potrafi tylko biernie odnotować potok własnych różnorakich doznań. Relacja oddaje „na gorąco" proces myślenia. Ogólniejsze znaczenie i obiektywna motywacja tych ciągle „stających się" doznań umykają z pola widzenia opowiadającego.

Charakterystyczna też jest szata językowa owych utworów. Najczęściej — choć nie zawsze — monstrualnie rozbudowane zdania o luźnych związkach składniowych, o tekście narracyjnym przemieszanym z przytoczeniami cudzych słów. Ma to odzwierciedlać tok luźnych kojarzeń w psychice opowiadającego. Z braku miejsca cytuję przykład krótki stosunkowo (boć zdarzają się całe powieści pisane... jednym zdaniem!): *Rodzice siedzą jeszcze przy dużym stole i przygotowują lekcje, ojciec przerabia algebraiczne zadania, na papierze długa kolumna cyfr i znaczków, zadowolony, iks, igrek, mówi półgłosem, spoglądam na niego z ukosa przez uchylone drzwi, zadowolony porządnie, ma sześćdziesiąt cztery lata, czerstwy, rumiany i zawsze coś musi robić koniecznie, chyba w swoim życiu machnął tysiące, dziesiątki tysięcy równań, zadań, wzorów, robi to po to, tak powiada, żeby nie wyjść z wprawy, kiedyś trwało to sześć miesięcy, nie miał roboty, wtedy, wydawało mi się, że rozsypie się, zmarniał, wychudł i nagle zobaczyłem, że to starzec, pomarszczony i siwy, sięgał po algebrę czy trygonometrię, pisał te swoje symbole, cyfry, równym starannym pismem wypisywał i zaraz odkładał, nastawiał radio, słuchał dziennika i zaraz wyłączał.*

Omawiany typ prozy nazwałem kiedyś — z braku lepszego określenia — „antynarracją". Posiada ona szczególną nośność dla złożonych spraw egzystencji jednostkowej, ogniskuje się bowiem na sylwetce pojedynczego człowieka w niepowtarzalnym „migotaniu", stawaniu się jego życia psychicznego, zakreśla wartość poznawczą utworu w obrębie cząstkowej perspektywy empirycznego oglądu świata przez jednostkę.

Kiedy więc po roku 1956 filozofia marksistowska poczęła odrabiać zaległości w zakresie problematyki jednostki, kiedy wówczas problematyka ta oczyszczona została z pewnych ograniczeń, wtedy „antynarracja" znalazła swobodny grunt dla swoich poszukiwań, które zresztą nie zawsze biegły torem równoległym do marksistowskich penetracji.

Tak czy inaczej trzeba tu wymienić paru pisarzy: Brandys („Jak być kochaną", „Sposób bycia"), Stanuch („Portret z pamięci"), Odojewski („Miejsca nawiedzone"), Nowakowski („Robaki" i niektóre opowiadania z tomu „Silna gorączka", skąd pochodzi nasz przydługi cytat), Iredyński („Dzień oszusta", „Ukryty w słońcu"), Stachura (część opowiadań z tomów: „Jeden dzień" i „Falując na wietrze", skąd zaczerpnąłem pozostałe cytaty)... Znów tylko całkowicie przykładowy rejestr autorów i książek. Nie chodzi mi bowiem w tym artykule o nazwiska, lecz o... zjawiska, tym bardziej że w naszych rozważaniach znajdujemy się dopiero na początkowym etapie wtajemniczenia. (Mówiłem rzeczy ogólnie krytyce znane).

Podobnie jak w wpadku groteski, tak i tu istnieją (w obrębie twórczości wymienionej i nie wymienionej) utwory artystycznie udatne i nieudatne, książki, które łączy tylko punkt wyjścia, zaś ostateczny sens bywa częstokroć różny: od egzystencjalnej bezzasadności ludzkiego losu i niepoznawalności świata, przez totalny rozziew między jednostką a historią (czy jednostką a społeczeństwem), przez tragiczną nieautentyczność i niespójność struktury osobowej człowieka oraz nieusuwalną sprzeczność między kulturą i naturą, aż po przezwyciężenie alienacji i wiarę w możliwość rozumnego kształtowania swego losu.

Poza wszystkim, co można powiedzieć o literaturze, jest ona również swego rodzaju myśleniem o świecie. Pamiętajmy, że w myśleniu tym współczesny pisarz nie wynosi się nad czytelnika, lecz domaga się jego równorzędnego partnerstwa. Jak widzieliśmy przy omawianiu „antynarracji", literatura ta daleka bywa od wszelkiej pewności, wyraża raczej kontrowersje wewnętrzne i rozterki człowieka, obejmuje rejony jeszcze niedokładnie spenetrowane, które niegdyś umykały zainteresowaniom pisarzy. Z tym wszystkim współczesna literatura stanowi raczej serię pytań niż gotowych, jednoznacznych rozwiązań i pouczeń, bywa nieraz demonstracją spraw, których — jak powiada cytowany przeze mnie wielokrotnie Wilhelmi — *nie mogą i nawet nie usiłują rozwiązać żadne ideologie społeczne.* Gdyby z jakichś względów kierunek tych pytań nam nie odpowiadał (a tak na pewno będzie), pamiętajmy o szacunku dla cudzego myślenia i szacunku dla inności drugiego człowieka — dopiero nad tym nadbudowujmy sąd własny. Będzie to wtedy istotne zwycięstwo literatury współczesnej.

Maciej Podgórski

Najlepszą formą
terminowego otrzymywania
„Kameny"
jest prenumerata

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 1427 24.IV.68. C-4

Z ŻYCIA WZIĘTE

Machinacje „olimpijczyków”

JESZCZE żadna z nowoczesnych olimpiad nie wywołała takiej burzy jak ta, która dopiero ma się odbyć w Meksyku. Zaczęło się pod koniec lutego, gdy w Grenoble Międzynarodowy Komitet Olimpijski postanowił zaprosić do Meksyku sportowców Południowej Afryki. Chodziło o to, że kraj ten mieli reprezentować nie najlepsi sportowcy, a tylko sportowcy biali. Rasistowska republika bowiem, wyznając oficjalnie apartheid, z góry dyskryminowała zawodników innej rasy. Byłoby to oczywiście jaskrawe pogwałcenie zarówno karty olimpijskiej jak i uznanej przez wszystkich Deklaracji Praw Człowieka.

Jak mogło dojść do tak niezwykłej, oburzającej decyzji większości członków MKOl?

Pierre de Coubertina, twórcę nowoczesnych olimpiad, nazywano idealistą. Tak przynajmniej przedstawiają go biografowie. Francuski dziennik „L'Humanité” przypomniał jednak niedawno, że obok Coubertina drugim twórcą nowoczesnego sportu we Francji był Paschal Grousset. Ale zanim Grousset zaczął organizować sport francuski, walczył w Komunie Paryskiej, za co reakcyjny rząd skazał go na kilka lat deportacji. Coubertin do końca życia nie tylko odmawiał współpracy z Groussetem, ale ani razu nie chciał się z nim spotkać.

Trzeba także pamiętać, że Pierre de Coubertin był baronem. Grupował wokół siebie przede wszystkim ludzi z arystokracji. Być może sądził, że ludzie ci, wolni od trosk materialnych, potrafią skutecznie chronić sport przed skomercjalizowaniem.

Od czasów barona Coubertin zmieniło się jednak niemało. Mapa świata wygląda zupełnie inaczej, w dziesiątkach państw doszły do głosu inne siły. Zawody sportowe zamieniły się w skomercjalizowane widowiska, nie wyłączając olimpiad. Równocześnie tytuły królów, książąt i hrabiów straciły cały swój blask. Druga wojna światowa dodatkowo przyniosła powszechne potępienie rasizmu, który spowodował tak wielkie spustoszenia materialne i moralne.

Tylko w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim zmieniło się niewiele. Statut nadal przewiduje, że jego członkowie wybierani są dożywotnio, niezależnie od tego... czy kogoś reprezentują czy nie. Typowym tego przykładem jest niejaki pan Mohamed Taher. Za czasów króla Faruka reprezentował on feudałów egipskich. Gdy przed 16 laty kraj ten stał się republiką, pan Taher wyemigrował do Szwajcarii, gdzie przezornie już uprzednio umieścił na swoim koncie niemałe sumy. I mimo że od tego czasu pan Taher ani razu nie był w Zjednoczonej Republice Arabskiej, że nie ma prawa reprezentować ani jednego fellaha tego kraju, że jest nawet wrogiem swojej ojczyzny — nadal w MKOl „reprezentuje” ZRA. Co więcej, jest prawą ręką jego przewodniczącego, amerykańskiego przemysłowca pana Avery Brundage. W Komitecie Wykonawczym MKOl czołową rolę odgrywa francuski książę de Beaumont, który poza tym nigdy nie miał nic wspólnego ze sportem, natomiast przez całe życie zajmuje się kolonialną eksploatacją plantacji kauczukowych w Kambodży.

Kraje socjalistyczne nie bez trudu wprowadziły swoich przedstawicieli do MKOl, a delegat ZSRR jest jednym z 9 członków Komitetu Wykonawczego. Kraje te konsekwentnie przestrzegają zasady, że ich delegaci reprezentują narodowe komitety olimpijskie, że są odwoływani z chwilą, gdy przestają je reprezentować. Nadal jednak stanowią oni poważną mniejszość.

Arystokratyczno - przemysłowa większość w Grenoble zadecydowała, aby do olimpiady w Meksyku dopuścić rasistowską Południową Afrykę. Dopiero pod naciskiem 30 krajów, które zagroziły bojkotem igrzysk w Meksyku, najpierw Komitet Wykonawczy (podobno większością tylko jednego głosu), a potem większość członków MKOl wypowiedziały się za wycofaniem zaproszenia Południowej Afryki. Sprawa znana jest z depesz, ale wydaje się, iż warto zastanowić się nad kilku jej aspektami.

Zarządzając korespondencyjne głosowanie, Komitet Wykonawczy uniknął niewątpliwie burzliwej dyskusji, która na plenum MKOl doprowadziłaby zapewne do poważnych zmian w strukturze i składzie osobowym tej rzekomo apolitycznej organizacji. Dalej — głosowanie ograniczono tylko do najbliższych igrzysk, nadal więc pozostaje otwarta sprawa udziału zarówno Południowej Afryki jak i ewentualnie innych krajów w następnych olimpiadach. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że jednym z decydujących czynników, który wpłynął na wynik głosowania, był fakt, iż Meksyk w przygotowanie olimpiady włożył już olbrzymie sumy — i że w razie jego wycofania się żaden inny kraj nie byłby w stanie zorganizować olimpiady zastępczej, nawet gdyby wzięło w niej udział tylko kilkanaście krajów. Dodajmy jeszcze na podstawie niedyskrecji prasy zagranicznej, że na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego w Lozannie książę de Beaumont, ten od kambodżańskiego kauczuku, proponował, aby zawodnicy Południowej Afryki mogli startować jeżeli nie w drużynie narodowej, to pod barwami... MKOl. Byłby to bardzo niebezpieczny precedens, stanowiący w istocie ponowne złamanie karty olimpijskiej, zwykłe oszustwo formalne.

Przegrana starczych koncepcji 89-letniego pana Brundage oraz jego utytułowanych lub napęczniałych dolarami popleczników w normalnych warunkach powinna zakończyć się ich dymisją, a następnie wprowadzeniem zasadniczych zmian strukturalnych w MKOl. Nie będzie to w realnych warunkach rzeczą łatwą. Ale prędzej czy później musi nastąpić. Sport bowiem musi służyć integracji ludzkości, a nie jej podziałowi według koloru skóry, tytułów czy wypełnionych portfeli.

PAR

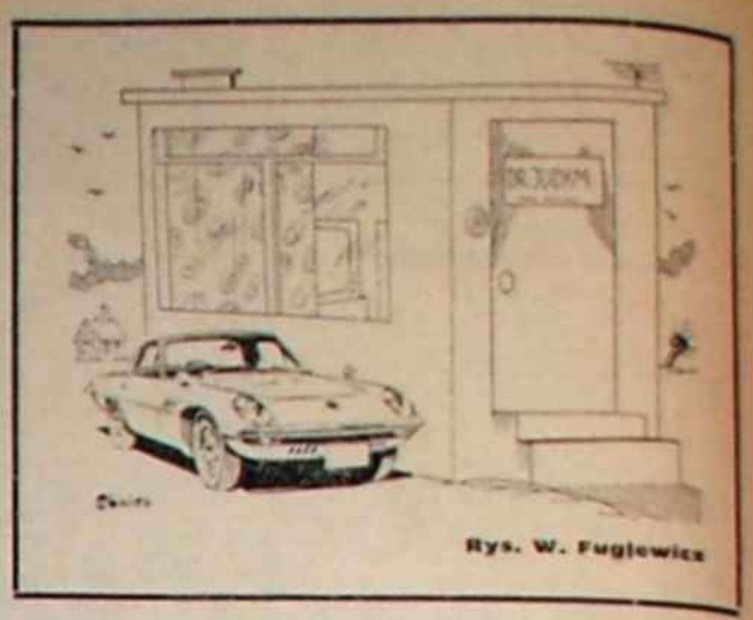

Rys. W. Fuglewicz

Roman Wiśniewski

Listy

CHODZIŁ tędy bardzo sympatyczny starszy listonosz, który przynosił mi listy od ciebie. Mieszkałem w ostatniej godzinie jego rewiru i dlatego, choć pisałaś tylko czasem, prawie codziennie wychodziłem przed pocztę i pytałem, czy jest coś do mnie. Listonosz uśmiechał się miło, a ja lubiłem go za to coraz bardziej.

Kiedyś spostrzegłem, że on się wcale nie uśmiecha, tylko po prostu śmieje się ze mnie. Ukryłem się tego dnia za krzewem jaśminu i cisnąłem weń kamieniem. Zabrało go pogotowie.

Teraz już nie roznosi listów. Dostaje rentę, utyka na jedną nogę i czasem spaceruje ulicami, na które kiedyś przynosił korespondencję.

Mieszkam w tym samym domu, jednak w pierwszej godzinie rewiru nowego listonosza. Tylko, że teraz nie dostaję już listów od ciebie...

MINUTA MYŚLENIA

Malowanie śmieci

NA ostatnim posiedzeniu Sejmu premier mówił o biurokracji. Z coraz wyższej trybuny zapada na nią wyrok. Czyżby w okresach między wyrokami doznawała jakiejś amnestii? W innym wypadku już dawno powinna zniknąć jako temat, zostając jedynie jako przedmiot — zgodnie ze słowami premiera — permanentnego przeciwdziałania.

Ale nie sądźmy, że biurokracja jest złem z ustanowienia samych piekieł, czy stanem, w który wbrew naszej woli popadamy zbyt dokładnie ulepszając Rzeczpospolitą. Dla niektórych ludzi, dla niektórych instytucyjek, jest po prostu zbawieniem. Ci ludzie i te instytucyjki cierpią na przykład na nieuleczalną niemożność. Nie potrzeba aż operującego tysiącami prawa Parkinsona, by ujrzeć u nich zjawisko wyczerpywania się energii przez sam fakt ich istnienia. Zrobić nic nie mogą (nie chcą, lenią się, nie uznają za korzystne — niepotrzebne skreślić) — cóż więc? Przed wymaganiami społeczeństwa obwarowują się panierkami i chichoczą w kułak. Niech ludzie widzą w ogóle biurokrację, a nie w szczególe indolencję danej instytucyjki. Proste? Jak pożar pokrywa manko magazyniera, tak rozmnożony formularz — nieudolność poniektórego urzędu.

Szczególnie pomyślnie udaje się to w epoce „wyspecjalizowanych” resortów. Postępująca specjalizacja w nauce (ostatnio „wynaleziono” nową dziedzinę wiedzy: stosunki międzynarodowe), postępująca specjalizacja w administracji. I jak kardiolog coraz mniej orientuje się w sprawach fizyjatrii, tak tu coraz mocniejsza tkanka izolacji pokrywa organy poszczególnych działów. Mamy tego szczególnie wymowny przykład zawsze przed jakimś dniem uroczystym. Trzeba wtedy odezyść miasto. To znaczy m.in. pokryć świeżą farbą te różne słupki i druty wokół trawników, kosze na śmieci, łańcuchy na przejściach itp. Ale „wyspecjalizowana” komórka o gestii „odmalować” nie może podjąć żadnej funkcji łączącej się z gestią „wyprostować”, więc w efekcie mamy paradoks osobliwego rodzaju: jakoś tam to odmalowane, ale w dalszym ciągu chwiejne i krzywe. Szczególnie tym wymalowaniem podkreślające swą brzydotę i czyjeś niechlujstwo. Mamy receptę: zamiast uprzątać śmieci malujmy je na jakiś efektowny kolor.

Ale nie koniec na tym, bo opisane wyżej wypadki nie występują na zasadzie przeoczeń, ani w charakterze wyjątku. Weszły ni mniej ni więcej, tylko w zasób warunków określających stan naszego myślenia i reakcji społecznych. Są czymś naturalnym. Gdyby się w tym względzie coś poprawiło, przyjęlibyśmy to z aprobatą, ale i z wyrazami zdumienia. „Coś”. Bo mogłoby się to stać jedynie w sposób nieosobowy, tchnieniem pozaludzkiego zrządzenia, mocą gwiazd. „Gwiazdy winić, Brutusie, żeśmy niedołęgi” — tak napisałby Szekspir, gdyby żył nad Wisłą w roku 1968, czy w jego okolicach.

Bo na przykład. W Lublinie jest powszechnym odczuciem społecznym, że społeczeństwo jest ofiarą bezwładu Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacji. Te oczekiwania na przystankach całymi tłumami wierzących w cud zastosowania się do rozkładu jazdy. Te olśnienia nadziei, kiedy te oczekiwania wynagrodzi wreszcie dobra wola jakiegoś szofera, czy konduktorki, którzy zechcą pojawić się na przystanku ze swoim pojazdem. Ale to gra tylko dla wypatrujących oczu i uciszanych westchnień. Natomiast gdzie, kiedy, w jaki sposób i kto o tym powiedział wyraźnie przed jakimś miarodajnym audytorium? Pałąki spadają, niezdarne szafy o mylącej nazwie trolejbusów snują się po jezdni, a „naród czeka i nie wie”. „Znasz — li ten kraj?”

Bądźmy jednak optymistami. Miejmy nadzieję, że coś takiego jak na przykład powietrze nigdy nie znajdzie się w rękach biura, komórki, referatu. Będziemy mieli czym oddychać.

Ijon

FRASZKI

LECH KONOPIŃSKI

Kogo boginie kochają...

Piszę Wenerze fraszki i ody,
niech mnie zabierze, dopókim młody.

Raj nieutracony

Nie pojmie Adam utraty raju,
jeżeli z Ewą go wypędzają.

Smutek

Choć jeszcze walczę wciąż jak Don Kichot,
smuci mnie Sancza cyniczny chichot.

Moja odwaga

Moją odwagę chwalą niektórzy,
a ja, po prostu, boję się stchórzyć.

(Z tomu fraszek „Diabelskie sztuczki”, który wkrótce ukaże się na półkach księgarskich nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Ilustracje — Maja Berezowska).

KRZYSZTOF JASIŃSKI

Kariery

Często zmienność losu
zależy od donosów.

Różnice?

Na co dzień — pod ogóreczka.
Na święta — pod jajeczka.

JAN WRÓBEL

Reżyser - odkrywca

Najpierw spotkanie, potem wizyta
i nowa gwiazda filmu odkryta.

FELIETON Z REZERWY

Czytelnik nasz pan?

NIECH żyje szybka informacja! Biorę do ręki „Sztandar Ludu” z wtorku, 23 kwietnia. Z ostatniej, miejskiej strony, która powinna być obok stron pierwszej i drugiej najaktualniejsza, dowiaduję się, że:

● 19 kwietnia odbyło się inauguracyjne zebranie, na którym wybrano zarząd Stowarzyszenia Twórców Ludowych;

● 20 kwietnia w salach BWA nastąpiło otwarcie ekspozycji dwóch lubelskich plastyków J. Królikowskiego i J. Łukawskiego;

● 18 kwietnia (tak, tak, to nie pomyłka, podkreślam osiemnastego kwietnia) w Teatrze im. Osterwy odbyła się prezentacja spektaklu „Wiatr w gałęziach sassafrasu” Rene de Obaldii w reżyserii J. Wróblewskiego. Na premierę przybył autor.

Na drugiej stronie znajduję dalsze informacje z Lublina. Oto 21 kwietnia odbył się w sali Garnizonowego Klubu Oficera wojewódzki finał Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym, a 20 kwietnia — walne zebranie lubelskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Walki z Kalectwem, na którym dokonano oceny dotychczasowej działalności tego stowarzyszenia oraz wybrano nowy zarząd oddziału.

Trudno zrozumieć, dlaczego z lektury „Sztandaru Ludu” mogę się na ogół dowiedzieć, co np. wczoraj zdarzyło się na drugiej półkuli, a nie mogę być poinformowany o tym, co działo się w moim mieście? Dziennik, jak sama nazwa wskazuje, jest pismem wychodzącym codziennie. Dziennik, który ukazuje się w Lublinie, ma obowiązek bieżącego informowania o poszczególnych wydarzeniach, które przyniósł dzień wczorajszy — wydarzeniach ze świata, z kraju, z Lubelszczyzny i ze stolicy województwa. Nie wymyślam prochu, ale na miejscu redaktora naczelnego czy sekretarza redakcji „Sztandaru” wprowadziłbym w każdym numerze stałe rubryki: „Wczoraj w Lublinie”, „Wczoraj na Lubelszczyźnie”. Zresztą nie jest istotna nazwa, chodzi o meritum zagadnienia. Gdyby takie rubryki powstały, można by później twardo egzekwować — zarówno od pracowników przebywających w Lublinie, jak i od tych, którzy są stale w terenie, aby codziennie dostarczali do bieżącego numeru najświeższe wiadomości.

W drugiej połowie XX wieku nie można pracować, jak za króla Ćwieczka. Jeśli o wczorajszym wydarzeniu dowiaduję się po dwóch, trzech czy nawet pięciu dniach, to dla mnie jest dziennikarskim bublem. Tępimy buble w handlu, tępmy je i w prasie, w interesie dobra czytelników, w interesie dobra wspólnej sprawy. Jeśli jest hasło „Klient nasz pan”, dlaczego nie można wysunąć innego — „Czytelnik nasz pan?” „Klient ma zawsze rację” — „Czytelnik ma zawsze rację”. I ponieważ „czytelnik ma zawsze rację” nie potępiałbym tak, jak to czyni we wspomnianym wtorkowym numerze „Sztandaru” Jotel, p. Franciszka Woźniaka, który w liście do „Sztandaru Ludu” występuje z pretensjami o złą informację dotyczącą repertuaru kina „Oaza”. Opierając się na rubryce „Dokąd dziś idziemy”, p. Woźniak udał się do „Oazy” na film pt. „Westerplatte”. Udał się z żoną korzystając z trolejbusu, co kosztowało go w sumie (tam i z powrotem) cztery złote. W liście do redakcji prosi „o zwrócenie tych pieniędzy, gdyż wydatkowane zostały zupełnie niepotrzebnie i li tylko na skutek błazeńskiej informacji”. Zwrot „błazeńska informacja” na pewno nie należy do najwytworniejszych, ale co p. Woźniaka może obchodzić fakt, że kierownik kina „Oaza” w porę nie powiadomił redakcji o zmianie repertuaru? Jeśli redakcja chce się na przyszłość zabezpieczyć przed otrzymywaniem listów z podobnymi pretensjami, wystarczy każdorazowo dodawać po podaniu repertuaru kin: „repertuar podajemy na podstawie informacji kierowników kin, za wszelkie zmiany w programie redakcja nie odpowiada”. W konkretnym wypadku tego zdania zabrakło i dlatego p. Woźniak ma pełne moralne prawo domagać się od redakcji zwrotu owych czterech złotych czy symbolicznej złotówki!

Poruszam ten problem, w istocie nie taki znów błahy, bo zdenerwowała mnie argumentacja Jotela, który twierdzi, że „epitety w rodzaju głupi kawał, czy błazeństwo świadczą o mizernym poczuciu kulturalnego obcowania z ludźmi p. Franciszka Woźniaka”. Pan Woźniak nie ma obowiązku znać tzw. kuchni dziennikarskiej i ma pełne prawo się zdenerwować.

No i końcowa uwaga — odpowiedzialność za słowo drukowane. Zarzut Jotela „o mizernym poczuciu kulturalnego obcowania z ludźmi” można skierować i pod innym adresem. Prawda, redaktorze Jotel?

MAJ

JANUSZ ROŚ

Kolorowe myśli

Świadectwo dojrzałości nie chroni przed zdziecinnieniem.

Można znaleźć się między młotem a kowadłem, ale to nie powód, aby się zaraz płaszczyć.

Stawia dopiero pierwsze kroki. A już defiladowe.

Gdy zaczęli stanowić zgrany zespół, mieli już same ograne numery.

W szkole życia wielu rzeczy trzeba się, niestety, oduczyć.

Odpowiedzi redakcji

M. G. w Białymstoku. Już zdarzyło się kilkakrotnie, że materiały nadesłane do „Kameny” były uprzednio publikowane w innych pismach. Proszę się więc nie dziwić, iż jesteśmy szczególnie czujni nie chcąc dopuścić, aby podobne wypadki mogły się powtórzyć. Cieszymy się, że Pan wyjaśnił szczegółowo swoją sprawę, incydent możemy uważać za niebyły. Jakie ma Pan propozycje na przyszłość? Pytamy o to, ponieważ zawsze chętnie widzimy współpracowników z Białegostoku i innych wschodnich województw, o ile — oczywiście — nadsyłają nam interesujące materiały.

„Omen”. Stwierdza Pan nadsyłając kilka wierszy: **„Proszę napisać w Odpowiedziach redakcji coś o tych rzeczach”.** Nasza odpowiedź jest bardzo prosta: Nie jesteśmy w stanie, mimo dużych wysiłków, odczytać nawet tytułów! Drogi Panie, litości nad naszymi oczyma!

„Ewa z Białegostoku”. Przedstawia nam się Pani podając, że ma 18 lat. W takim wieku wiele dziewcząt chwyta za pióra i powstają utwory w rodzaju **„Erotyku”: „Trzymam kwiat w ręku / Patrzę i widzę na jawie / Jak stoisz daleko w myślach mych. / Usta Twe milczą i słyszę płacz. / To kwiat w mym ręku cichutko łka / I krwawe leje łzy. / Czuję, że coś się ze mną dzieje / Lecz nie potrafię tego wytłumaczyć Ci. / Wiem, że Ty i tak nie zrozumiesz mnie, / Ty jesteś głuchy na łzy i rozpacz. / Więc proszę odejdź i zostaw mnie, / Niech kwiat róży pociesza mnie...”** itd. itd. Po lekturze tego wiersza chciałoby się odpowiedzieć Pani słowami: **„Czujemy, że coś z nami dzieje się...”** Panno Ewo, może Pani, oczywiście, dalej pisać, ale warto przy tym zachować choć trochę krytycyzmu. Mamy lkać jak ów kwiat w Pani ręku?

B. S. w Poznaniu. Dla przyszłego historyka literatury zatrzymujemy informację umieszczoną pod wierszem **(„napisałem 21 marca 1968 roku”).** To wszystko, co możemy dla Pana uczynić po lekturze tego naiwnego wierszyka, w którym **„brązowy koń proboszcza do dusz gasnących biegnie”.**

Z. K. w Szczecinie. Jest Pan niezmiernie ciekawy, jak ocenimy to, co nam Pan zaprezentował. Wie Pan co? Spróbujmy odwołać się do czytelników. Jeśli poda Pan swój adres, obiecujemy przesłać każdy list, jaki otrzymamy po lekturze Pana utworów. (Czytelników prosimy o zaznaczenie na kopercie: „dla Pana Z. K.).

Wiersz I: **„Pewien mąż stanu / zmazywał winy z dusz / ludobójców / Ustawił je w rzędach / zdjął pasek / i dalejże łać / Małej duszyczce tak / zerżnął dupinę że / zemdlała / Przy której odsapnął / Przy tysięcznej zbladł / Następnym duszyczkom / odpuścił winę / w miłej i serdecznej / atmosferze”.**

Wiersz II: **„Przechodził przez łąkę / stary dziad / Wypadło mu szczęście / z kieszeni na trawę / Małe to takie / wychudzone / do sanatorium można by / je wysłać / lub zmienić mu klimat / Odwrócił się stary / spojrzał / i kopnął je w zad”**

B. R. w Lublinie. Pisze Pan w liście do redakcji: **„Z dużym zainteresowaniem przeczytałem felieton pt. „Dzienniki i schematy”. Mieszkam w Lublinie i tu jestem stałym czytelnikiem „Sztandaru Ludu”, mam rodzinę w woj. rzeszowskim i kiedy do niej jeżdżę „zdradzam” lubelski dziennik na rzecz „Nowin Rzeszowskich”. W gruncie rzeczy oba te dzienniki są do siebie bardzo podobne, gdyby nie inne powieści, nie zauważyłbym nawet różnicy. Lektura felietonu kazała mi inaczej spojrzeć na ten problem. Byłbym rad, gdyby inni zabrali głos na ten temat”.** My też bardzo bylibyśmy radzi, bo problem dzienników wojewódzkich leży nam na sercu.

Z. B. w Kołobrzegu. Cykl „Przed maturą” już, niestety, kończymy. Otrzymujemy wiele listów, zwłaszcza od młodych poetów, którzy proszą o kontynuowanie popularnych artykułów na temat współczesnej poezji. Będziemy o tym pamiętać w przyszłości.

M. B. w Zwoleniu. My też chcemy pokoju. Ale Pana wiersz pod tym tytułem więcej niż słabiutki.

KONKURS

Dni Wyzwolenia

Z okazji zbliżającej się 25 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego i 25-lecia Polski Ludowej Zarząd Główny Związku Młodzieży Wiejskiej oraz redakcja „Naszego Klubu” ogłaszają konkurs na relacje z okresu walk partyzanckich, walk wyzwoleńczych, ustanawiania pierwszych organów władzy ludowej, przeprowadzania reformy rolnej, przeobrażeń społecznych i politycznych tego okresu. Mogą to być zarówno relacje z przeżyć własnych lub osób bliskich, jak również napisane na podstawie „Wieczorów wspomnień” urządzanych w klubach. Poza relacją należy przesłać krótki opis posiadanych przez mieszkańców danej wsi pamiątek z tamtego okresu — prasy, ulotek, ogłoszeń i innych dokumentów, fotografii itp.

Prace należy nadsyłać na adres: Redakcja „Nasz Klub”, Warszawa, ul. Srebrna 12, do 30 listopada 1968 r. Prace muszą być opatrzone godłem, a w kopercie z takim samym godłem imię, nazwisko i adres autora, rok i miejsce urodzenia, zawód, przynależność organizacyjna oraz potwierdzenie rady klubu lub koła ZMW o zorganizowaniu w klubie „Wieczoru wspomnień”. Prace mogą być nadsyłane również przez zespoły — dane należy podać o wszystkich jego członkach.

Nagrody zespołowe: I — 10 tys. zł, II — 8 tys. zł, III — 6 tys. zł i 10 wyróżnień po 1,5 tys. zł. Nagrody indywidualne: I — 6 tys. zł, II — 4 tys. zł, III — 3 tys. zł i 15 wyróżnień po 500 zł.

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok IV Maj 1968 Nr 10

Melania Burzyńska

Objawienie wiosny

Klucz żurawi otworzył słońce
kapnęło złoto na kwiat
kaczeńca na błocie
aż pozieleniały z zazdrości
stare przy płocie pokrzywy
gderając na swój
wiecznie zielony los
wywabiły ciekawe główki
trawy

Jaświły, woj. białostockie

Walenty Jarecki

Chcę wiersze pisać o wiośnie

Chcę z kwiatów układać wiersze
w maju na polach i łąkach
wiązanki uczuć najszczerszych
przystrajać w promienie słońca.

Chcę, by ktoś wyczytał z nich wiosnę
i zieleń i śpiew słowików
i myśli moje tak proste
jak świerszczy polnych muzyka.

Chcę wiersze pisać o wiośnie
i wiosnę z kwiatów chcę wyśnić
z zieleni i z ptasich piosnek
z serc pierwszych na drzewach liści.

Staw, pow. Wieluń

Helena Waligóra

Życzenie

Życzę ci matko
by gwiazdy ze stropu nieba
jak rozrzucony sznur korali
rozsypały się u twoich nóg
by księżyc odblaskiem smug
ułożył się do nich
by wóz kwiecisty gwiezdny
przewiózł twoje marzenia
w krainę szczęścia
pod szczęśliwą gwiazdę
słońce niech opromieni twoją twarz
i dłonie
obdarzy złotem blasków
by tęcza wykreśliła ci nadziei
drogi
a kwiaty ścieliły na nich
swe wonne kielichy

Białka Tatrzańska, pow. Nowy Targ

Irena Trzaskowska

Jestem

Jestem częścią wszechświata,
Jak pył drobny, jak atom,
Jak molekuł, jak azot i tlen.
Jak te dęby szumiące,
Jak powietrze, jak słońce
Jak pszenica i żyto i len.
Jak niedźwiadki w ostępie,
Jak kaczeńce na kępie,
Jak obłoki i tęcza i wiatr.
Jak niebiescy ptakowie,
Jak księżyca jasnowie
I jak robak i motyl i gad.
Ale przetrwam materię
I żyć zacznę na serio,
Gdy się z ciała wyzwalam przez śmierć...
Życiem pełnym i jasnym.
Kiedy oczy me zgasną,
Nad mogiłą zaszumi gdzieś świerk.

Kraków

Kazimierz Śladewski

* * *

Szewc ma zielone buty w lecie
Z lipowej kory i gałązek
Podzelowane strzępem sierści
A może słomą — nie wiem, skądże
Dźwigają szewca nogi chude
Nie narzekają, nie kaleczą
Zżyły się z mistrzem — starcem rudym
Są najwierniejszą jego rzeczą
W nocy, w niedzielę śpią pod łóżkiem
Snem karaluchów albo kotów
Zaprzyjaźnione z czujnym Kurpiem
Nie oddalają się ni kroku

Otwock

Chciał serca napełnić miłością...

Elżbieta Rosiak

JESZCZE nie tak dawno, bo w roku 1965, poeta ludowy, Józef Kapuściński, cieszył się z jubileuszu, jaki zgotowali mu koledzy po piórze w związku z 70 rocznicą urodzin. W dwa lata później, 15 października 1967 r., prasa doniosła o jego śmierci. Na łamach „Tygodnika Kulturalnego" i „Chłopskiej Drogi" pojawiły się artykuły przypominające jego niecodzienną biografię i bogaty dorobek zarówno poetycki, jak też prozatorski.

Kiedy dziś sięgamy do tomiku poety, wydanego w ramach Lubelskiej Biblioteki Ludowej, pt. „Niezapominajki", na dłużej zatrzymujemy się przy wierszu pt. „Wędrówka", w którym m. in. pisał:

I pozostawią nas wśród drzew,
W tym mieście ciszy i żałoby,
Gdzie wciąż żałobny słychać śpiew
Gdzie tylko drzewa są i... groby.

Józef Kapuściński działalnością społeczną i twórczą dowiódł, że zawsze najbliższa mu była wieś z urzekającym krajobrazem pór roku i troskami dnia codziennego.

Urodził się we wsi Lipniki, pow. Mościska. Wcześnie sięgnął po pióro. Swiadczy o tym najwymowniej jego debiut, który przypadł na rok 1910. Publikował od tej chwili utwory, szkice i artykuły na łamach około 80 pism. Przed wojną współpracował z takimi pismami, jak: „Przyjaciel Ludu", „Piast", „Wieś — Jej Pieśń", „Rola", „Sprawa Ludowa", „Rolnik Polski" i in. Dużo miejsca w jego przedwojennym, publicystycznym dorobku zajęła walka o nowe metody gospodarowania, a także propagowanie idei spółdzielczości. Był organizatorem na swoim terenie Kasy Stefczyka, rzucił myśl założenia Towarzystwa Przyjaciół Literatury Ludowej, propagował sprawę utworzenia funduszu literackiej nagrody wsi, opowiadał się także za utworzeniem Komitetu Budowy Pomnika na grób Ferdynanda Kurasia. W artykule opublikowanym w 1938 r. pt. „O literaturze ludowej" zwracał uwagę społeczeństwa na twórczość chłopską, w której dostrzegał duże wartości ideowe i artystyczne, pisząc m. in.:

Wieś polska czeka na nowe dzieło o swej twórczości. Czeka na to, aby przyjść do niej z sercem i duszą, bo wieś, jeśli idzie, to idzie z oddaniem i zaufaniem. Chłopska literatura, to fundament pod nową wielką literaturę odrodzonego narodu polskiego, to ton nowej ery w odrodzeniu duchowym narodu. Trzeba tę literaturę poznać, trzeba jej niejedno wybaczyć (...).

O tych zainteresowaniach Kapuścińskiego twórczością ludową świadczy jego zangażowanie się w zbieraniu gawęd z okolicznych wsi, przysłów i obyczajów. Swoje zbiory przekazał w rękopisach „Ossolineum" i Bibliotece Narodowej".

Przed powstaniem Polski Ludowej, w okresie międzywojennym, jako poeta walczył w swoich utworach o równość społeczną. Dziś problem ten przestał być aktualny a mimo to jego wiersze są nadal żywe dzięki ogromnemu ładunkowi uczucia, wiary w zwycięstwo sprawiedliwości, ukochaniu szarych pól, codziennego trudu i troski rolnika o plony, wreszcie dostrzeganiu piękna krajobrazu polskiej wsi. Toteż w jednym z wierszy wyznał czytelnikom:

Poeta ci jestem, poeta ludowy,
Piosenka moja prosta, pastusza,
Natchnieniem moim ten zagon płowy
Cichy szum łanów i polna grusza.

Kiedy narodziła się Polska Ludowa, Józef Kapuściński zamieszkał na stałe w Przemyślu. Pracował zawodowo — najpierw w „Społem", potem w Związku Samopomocy Chłopskiej — i społecznie w PRN jako członek Komisji Kultury i Oświaty. Ze względu na dorobek twórczy (przed rokiem 1939 wydał dwa tomiki poezji: „Spod chłopskiego pióra" i „Chaty w słońcu") po wyzwoleniu przyjęto go na członka Związku Literatów Polskich. W 1946 r. w publikacji pod redakcją Stanisława Pigonia pt. „Cierniste ścieżki literatury ludowej" znalazło się kilka szkiców pióra Józefa Kapuścińskiego, potem zaś ukazał się na półkach księgarskich tomik poezji pt. „Niezapominajki" w ramach Lubelskiej Biblioteki Ludowej. Wiersze jego weszły również do wielu antologii, np. „Wieś Tworząca", „Od Bugu do Tatr i Bałtyku" a także „Wiersze proste jak życie".

Jest rzeczą charakterystyczną, że mimo przynależności do ZLP czuł się na wskroś poetą ludowym, chętnie biorącym udział w zjazdach i spotkaniach organizowanych m. in. przez Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych. Śmierć zakończyła jego życiorys jako człowieka i twórcy pełnego *własnych ludzkich zwątpień*, ale także zachowała w historii literatury ludowej piękne wspomnienie jako o tym, który pragnął ludzkie *serca napełnić miłością*.

Józef Kapuściński

Nasza praca

Przyjdzie chwila, że nas tu nie będzie,
że wykreślą z ksiąg nazwiska nasze,
lecz zostaną po nas jak orędzie,
wąski zagon i niskie poddasze
i ta rola skibami porżnięta —
nasza, hen od Piasta, praca święta.

Jako pomnik dla potomnych wiela,
co nadejdą po nas na zagony,
będzie z wiosną i pod jesień ruń zielona,
co rokrocznie, wdzięczna za siew, w górę strzela —
będzie grusza na miedzy wśród pola
i jej szum o twardej chłopskiej doli.

Gdy odejdziem od roli i pługa,
by nie wrócić (stamtąd nikt nie wraca!),
pozostanie po nas na zasługę
ta dla dobra powszechnego praca,
od świtania, aż do zmierzchu nieba,
na ten bochen razowego chleba.

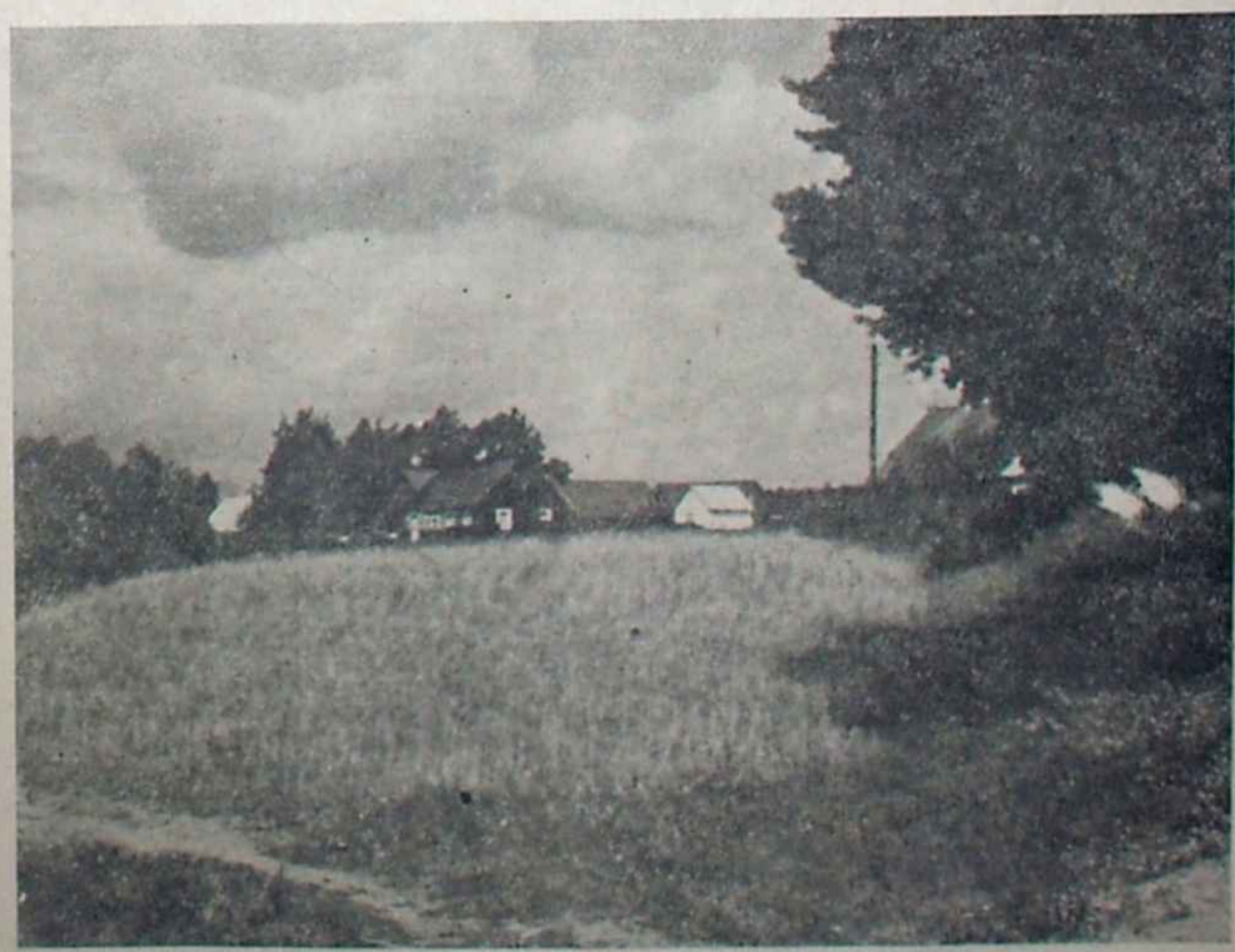

Krajobraz Ziemi Sejneńskiej — Fot. B. Sieńko

Z legend helskich

O zatopionym mieście

Antoni Pieper

PRZED wielu, wielu laty Hel z wioski rybackiej małej i biednej urósł na wielkie i bogate miasto portowe, w którym rozwinął się przemysł i handel oraz rzemiosło — nie tylko rybackie. Prosperowali tu znakomicie krawcy, szewcy, stolarze, kowale i złotnicy.

Mieszkańcy Helu byli uczciwi i pracowici. Zaletami tymi niemało przysparzali zamożności i dobrobytu swemu miastu. Wówczas u brzegów Bałtyku bursztynów było tyle, że podczas burzy morze wyrzucało na plażę takie wielkie ilości, iż napełniano złotymi bryłami jantaru pełne łódki rybackie. Sprzedawano go obcym kupcom ze Wschodu i Południa, którzy w zamian za to sprowadzali na ładownych trierach, galerach, nofach i kogach z odległych stron świata różne tkaniny jedwabne, cenne dywany, wyroby z kości słoniowej, klejnoty ze srebra, złota i drogich kamieni. Dobrobyt było tu widać wszędzie.

W owym czasie rybacy łowili łososie, dochodzące do stu funtów wagi, węgorze do 5 metrów długości, a fląder tak wielkich jak blat stołu było całe mnóstwo w Zatoce Gdańskiej i w Bałtyku.

Pobożny był lud helski i bardzo dziękował Bogu za otrzymywane dobrodziejstwa. Zbudowano kilka kościołów. Każdy dobrowolnie oddawał nadmiar swego bogactwa tym, którzy nie posiadali go dosyć. Toteż biednych i żebraków nie było tu wcale. Nie było również złodziei. Nie zawierali też w domach helskich na noc drzwi ani nie ukrywano skarbów swoich i pieniędzy. Sąd helski nie miał więc wiele do roboty.

Tak było długie lata. Lata Helan płynęły szybko, cicho, a bogactwo i sława miasta znane były daleko po kraju i świecie. Słysząc o tak szczęśliwym, spokojnym i dostatkami opływającym mieście, wielu ludzi z innych stron kraju zjeżdżało się tutaj, by zobaczyć to piękne miasto.

I byłoby tak trwało do dziś dnia, gdyby pycha i lenistwo nie zakradły się w serca mieszkańców Helu. Niezmierny dostatek i bogactwo Helu rozleniwiło mieszkańców, nie chciało im się ciężko pracować, coraz częściej wynajmowali sobie pracowników najemnych, a w końcu zaczęli się nawet posługiwać niewolnikami, których przywozili do Helu na statkach z dalekiego świata. Ci pracowali za nich od świtu do późnej nocy, a sami, nie mając zajęcia, zaczęli wynajdywać sobie różne rozrywki i zabawy. Wtenczas jak grzyby po deszczu powstawać zaczęły tawerny, winiarnie i inne domy, gdzie urządzano pijatyki, tańczono, grano w kości lub karty. Domy te były zawsze bogato zaopatrzone w korzenie i liczne drogie i wyszukane trunki, sprowadzane z różnych krajów.

Wzmogła się chciwość, dotąd nie znana Helanom, zazdrość, rozpusta, kradzieże, spotykało się dzieci bezdomne i opuszczone, zdarzały się morderstwa, dokonywane z zazdrości i pod wpływem odurzenia tymi trunkami. Sądy miały już pełne ręce roboty. Musiano budować więzienia i zorganizować straż bezpieczeństwa.

Ci, którzy jeszcze nie utracili zupełnie dawniejszych zalet charakteru, patrzyli na te zmiany z przerażeniem i gromili ostro naród, który tak bardzo się zmienił, ostrzegali i wzywali do poprawy. Ale były to głosy wołającego na puszczy. Bogaci patrycjusze miasta podrwiwali sobie z tych przestróg i ostrzeżeń i pogardliwie wydymali usta. Zamilkł śpiew rybaków podczas połowów ryb. Za uderzeniem dzwonów świątyń helskich nie śpieszono już tak gremialnie na nabożeństwa, by dziękować Bogu za udany połów. Na skutek hulaszczego życia zaczęły rozszerzać się choroby zaraźliwe w mieście. Gdy o tym dowiedzieli się kapitanowie obcych statków, omijać zaczęli rozpustne miasto.

Nieliczni sprawiedliwi Helanie widzieli chmury gromadzące się nad miastem i przepowiadali mu zagładę. Inni słuchali tej wróżby jak cudownej bajki i klaskali z uciechy, że dobrze została ułożona. Gdy niebo na horyzoncie ciemniało i zbierało się na burzę, niektórych ogarniał na chwilę strach i zaczynali wierzyć w karę niebios, ale gdy znów niebo się wypogodziło wracali z powrotem do swych uciech i zabaw.

Ranek w pierwsze święto Zielonych Świątek był taki, jak inne: nie wróżył niczego złego. Morze było zupełnie gładkie i ciche, panowała zupełna „gladа". Tak trwało do południa. Wielu mieszkańców Helu jak zwykle siedziało przy czarach napełnionych oszałamiającym, ogień po kościach roznoszącym płynem, gdy nagle, jak stada czarnych ptaków, gęste, ciemne chmury pokrywać zaczęły niebo i przesłaniać wszystko. Po chwili ciemność taka zaległa nad miastem, że dzień uczyniła podobny do nocy.

Trwoga ogarnęła nawet tych, którzy z przestróg różnych szydzili, ale nie chcieli okazać tego przed współbiesiadnikami swymi. Wznosili jakby na urągowisko swe kielichy coraz wyżej, jakby w złotym płynie chcąc zagłuszyć swój strach.

Nagle rozległy się głosy dzwonów wszystkich kościołów helskich nie poruszane ręką ludzką, a w biciu tym było można wyczuć lek, płacz, jęk. Tak przeraźliwie i dobitnie nie dzwoniły helskie dzwony nigdy, nawet w czasie groźby powodzi lub pożaru.

Choć cisza panowała, była to cisza złowroga, wróżąca straszną burzę. Jakoś po chwili z daleka dało się słyszeć, przeraźliwe wycie od strony północy, jakby śmiech, chichot szatanów, a potem jak sęp spadł na miasto gwałtowny podryw wiatru. Podryw ten wzmagał się gwałtownie i przemienił się w jeden łomot i huk, zagłuszający wszystko. W momencie grzbiety fal zaczęły się wznosić coraz wyżej, rosły, podsycane szaleńczym zrywem wichru, aż stały się duże, jak okręty. Wtedy ta góra spienionej i huczącej wody runęła, jak olbrzym rozgniewany, z szyderstwem, na rozbawione miasto.

Niebo smoliste zaczęły rozrywać jedna za drugą ogniste smugi błyskawic, które uderzały w najwyższe i najbogatsze domy, wzniecając liczne pożary wewnątrz miasta. Z taką wściekłością, jak wtenczas, jeszcze nigdy przedtem ani potem nie uderzało morze w osady ludzkie. W mgnieniu oka zalane zostały place, ulice, trawniki, wnętrza domów, ogrody kwieciste, a czego nie zniszczyła woda, strawił pożar. Wreszcie ze straszliwym hukiem zatrzęsła się ziemia i wchłonęła miasto, że ślad po ongiś tak sławnym i bogatym mieście zaginął na zawsze.

Przez długi czas potem w dzień Zielonych Świątek rybacy przepływający tamtędy w pogodny dzień i przy spokojnej fali, odbijającej w niej dno morza, widywali w nim przecinające ulice, leżące piękne ogrody, bogate, rzeźbione domy i nawet słyszeli głosy ludzkie, głośne toasty i muzykę. Starzy rybacy, bardzo przesądni, bali się tego miejsca i pilnowali, aby się nigdy tam w święta Zielonych Świątek nie znaleźć. Wielu młodych rybaków na przekór tym ostrzeżeniom, kpiąc sobie i lekceważąc z napomnień pragnęło zobaczyć owo bogate i sławne ogniś miasto Hel. Pokryjomu, nikomu nie mówiąc o tym, pojechali w te zakazane przez ich ojców strony. I żaden z tych ciekawych i odważnych nie powrócił do domu. Miasto — gdy je zobaczyli w wodzie, urzekło ich, rzuciło na nich czar wszechmożny, przyciągnęło do siebie, wchłonęło w swoje objęcia. Ani jeden nie oparł się tym czarom. Słysząc głosy ludzkie pod wodą, widząc wspaniałe domy, ulice i ludzi po nich przechadzających się, zapominał, gdzie był, wskakiwał do wody, a morze pochłaniało go na wieki.

Teraz czasem podczas silnych burz ci rybacy, którzy mają subtelny słuch i bardzo czułą i wrażliwą duszę, słyszą w szumie fal morskich jakby z dna Bałtyku wydobywający się cichy jęk dzwonów kościelnych zatopionego miasta.

Jastarnia

Andrzej Florek-Skupień

Mowa pytaców weselnych

JEST na Podholu zwyczaj zapraszania ludzi na wesela przez specjalnych do tego uproszonych dwóch mężczyzn-drużbów (jeden ze strony Pana Młodego, drugi Pani Młodej), których nazywa się pytacami, jako że proszą, pytają na wesele.

Pytace są ubrani odświętnie i w czarne honorne cuchy, przepasani wybijanemi pasami w centki mosiężne i srebrne. Na głowach kapelusze z weselnemi bukietami a w rękach mają nahajki do popędzania koni, gdyż służbę pytacy pełnią na koniach jeżdżąc. Często jest tak, że razem z pytacami jadą Młodzi Państwo powożeni parą koni. Pytace przed wejściem do domu, w którym mają zlecone prosić na wesele śpiewają:

Otwórzcie, otwórzcie, hej nie zapirojcie sie,
Idziemy Wos pytać, hej nie wymowiojcie sie.

Po odśpiewaniu tej śpiewki zeskakują z koni i wchodzą do izby ze słowami Niek bedzie pokwolony Jezus Chrystus... i następnie jeden z nich wygłasza mowę pełną swoistego humoru, w której informuje domowników, kiedy i gdzie odbywać się będzie wesele, jak można poznać dom i do niego trafić, i to co tam będą mieć do jedzenia. Domownicy słuchają, ale od śmiechu już wytrzymać ledwie mogą do czasu, aż się ta mowa skończy. A oto i ona:

Przyśli my wos tu pytać na wesele, na wtorek i na środe —
Młodo Pani, Młody Pon, my pytace z obu stron.

Bedzie ono w chałupie, co mo dźwierze przy słupie
i stoi hań po wysej potoka, przykryto gałęziami ze smreka.

A jak byście nie wiedzieli kany,
to bedzie tam bioły pies uwiązany u ściany.

I choć bedzie pieknie scekoł, to niek nik przed nim nie ucieko,
Niek se siednie na ziemi, pokiela sie nie ściemni.

Na weselu bedziecie mieć dość wygody,
bo tam jest przyryktowano studnia wody.

Nie bedom tam ludzie mili głodu,
bo jest tam kadź z kapusty i sąsiek z bobu.

Bedom tam jesce dawali rzepe z korzeniami,
co jom ze ziymie wytargały stare baby zębami.

Będzie tam syćkiego dość, ino se trza wziąść piniędzy gorzć.
Wto przy niesie kacora, pobędzie do wiecora,
a wto barana to posiedzi do rania —
a wto do świnie tego dwa dni nie minie.

Jak nom nie docie, ze przydziecie, pewnego słowa
to wos będzie kostować całućko krowa.
A jak byście sie kcieli het wyświadcyć,
to musicie całućkie wesele płacić.

Więcej wom juz nie powiemy, no bo sami nie umiemy
bo my sie nimieli casu ucyć, bo my sie musieli po wsi włócyć

Obeślimy światu wiele, prosąc ludzi na wesele
i tu do wos my wstąpili, byście i wy noń przybyli.
Więc sie nom nie wymowiojcie i gorzołki popróbujcie

Wroz z tymi słowami wyjmują z zanadrza flaskę z wódką i częstują domowników i teraz już jak trzeba na wesele zapraszają, a na koniec znowu leci przyśpiewka:

Hej chwałas Panu Bogu, hej kie my napytali,
Hej teroz se bedziemy, hej gorzołecke pili!

Mowa starosty weselnego

WYPOWIEDZIANA jest ona przed wyjazdem na ślub do kościoła. Wszyscy goście weselni zbierają się w jednej izbie, rodzice Młodych Państwa ustawiają się po jednej stronie a Młodzi Państwo — narzeczeni po drugiej na przeciw. Muzyka przestaje grać i kiedy wszystko ucichło wtenczas starosta wesela rozpoczyna swoje przemówienie, czyli tak zwane wypytowiny.

Niek bedzie Pokwolony Jezus Chrystus!
Witom wos Młodzi Państwo i wos goście wesela —
I wos witom muzycy — przezacno kapela.

Bars pieknie dziękujem, zeście sie zjechali
i byście sie grzecnie, prosem, zabawiali.

Zaś wos narzeceni pytom sie i wasej młodości,
Wto wase serca złącył do miłości?

Wto zapalowoł tom scerom miłościom,
Ze sie dziś wiązecie małżeństwa jednościom?

Według staropolskiego zwycaju,
Jaki tu jest w nasym kraju —
Dziś wom przydzie słozyć ślub,
Wtorego nie ozłący nic ino grób.
Tosto dobrze se ozwoście, co i jako cynicie,
Byście nie płakali bez całućkie zycie!

Od dziśka mój ty, Młody Panie,
Zabacyć musis o swoim kawalerskim stanie
I być dobrym mężem i ojcem rodziny —
Nie spróznować minuty — godziny.

I ty se pamiętaj, moja Panno Młoda,
ze dobra zona to męża korona —
Bo co mąz naprzywozi syrokiemi wrotami,
to djasi potym zona powynosi kątami.

Do wos zwracom sie weselnicy,
Ze my tu nie przyśli po próżnicy
coby my ino jedli i pili,
Ale coby my Młodyk Państwa ozweselili.

Tu sie ś nimi zabawili,
W kościele sie pomodlili,
Coby zyli w zgodzie wroz —
Bez całućki życio cas!

Radzem Wom tys Państwo Młodzi,
Kie juz z dumu trza wychodzić:
Zwróście sie do ojców co ik przed sobom mocie
I na nowom dróge zycio o błogosławieństwo proście!

Bo komu ociec matka nie pobłogosławi,
Tego niscęście w spokoju nie ostawi.
Tosto padnijcie do nóg ojcom wobec tego ludu,
Wy ojcowie błogosłowcie, bo idom do ślubu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Dosyć juz dosyć, na nogi wstawojcie
I po ślub do kościoła juz sie wybierojcie,
A wy chłopcy muzykanci marsia im zagrajcie!

Stołowe, pow. Nowy Targ

Józef Małek

Tatkobiorcy

Co sobotę od Lublina —
W trzy pacierze po obiedzie —
Motor, skuter, limuzyna
I Bóg wi, co jeszcze jedzie...

Co kto może, to dosiada,
Byle toto miało kółka!
I na kółkach — galopada,
I do taty — jak jaskółka!

W bagażniku — wietrzyk ino
Polkę sobie gra i hula.
Wietrzy miejsce na słoninę,
Na kartofle, na cebulę...

W poniedziałek do Lublina,
Kiedy trzeci kur zapieje —
Motor, skuter, limuzyna —
Wsio do miasta ze wsi wieje.

W bagażnikach ciężkie paczki,
W teczkach mąka i słoninka,
W siatkach kury, gęsi, kaczki...
Każdy motor jak choinka!

Każdy synek, co tam może,
Do miastowej ciągnie chaty...
Do soboty byle dożyć.
A w sobotę — znów do taty!

Bo u taty serce ojca
I co może — dziecku wtyka,
Da ostatnią kurę z kojca,
A sam — postne kluski łyka.

Boży Dar, pow. Bychawa

Stanisław Jeż

Gdybym wiedziała

Byłabym cię nie chciała
żebym była wiedziała
że takiego fujarę
bede jo z ciebie miała.

Ani ty na zabawę
ani ty na wesele
mosz nogi obie lewe
wykręcasz sie jak ciele.

Ani ty do kochanio
ani ty do roboty
to ci lekarz zabranio
na to ni masz ochoty.

Szukasz wszędzie poparcio
wszystko ci nie pasuje
a jedynie do żarcio
smaku ci nie brakuje.

Jadłbyś kury w rosole
i pieprzyłbyś i solił
potem leżoł w stodole
bo cie znowu brzuch boli.

Powiem ci tak niewiele
nie bede twoja żona
zbiraj swoje manele
wynoś sie do pierona!

Rzeszów